

magazyn

997

kryminalny

● Nr 16 (1983) ● 21 VIII 1994 ● CENA 10 000 ZŁ ●

● OKUP (ACJA) NA STARÓWCE

● ZAĆPANY ŚWIAT

● CZAS AGENTÓW

● PREZES Z PISTOLETEM

● CZAD W JAROCINIE



NIEDZIELA Z DROGÓWKĄ

czytaj
str. 18—19

zdjęcia: MAREK FIDOS





WYBÓR ZDARZEŃ
KRYMINALNYCH
pod redakcją ELŻBIETY CIERLICY

STÓJ, POLICJA!

NAPAD W TRAMWAJU

W biały dzień, bo około godziny 10.00, w pełnym ludzi tramwaju nieznani sprawcy dokonali napadu rabunkowego.

Krzysztof M. wszedł do tramwaju linii 33 przy ul. Wałbrzyskiej w Warszawie. Nim tramwaj zdążył dojechać do następnego przystanku, Krzysztof M. nagle dostał od kogoś w głowę i stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, stwierdził, że zrabowano mu pistolet P-83, kaliber 9 mm wraz z magazynkiem i 5 sztukami amunicji. Pasażerowie tramwaju jadący w tym samym wagonie podobno niczego nie zauważyli, myśleli, że Krzysztof M. śpi z głową opartą o znajdujący się przed nim fotel.

Poszkodowany był pracownikiem jednej z firm ochroniarskich i broń posiadał legalnie. Sprawę prowadzi KRP Mokotów.

E. S.

OBLANY LIZOLEM

3 sierpnia lokatorka jednego z budynków na warszawskim Żoliborzu znalazła w windzie zwłoki Kazimierza B., sąsiada znanego z nadużywania alkoholu. Denat był cały pokrwawiony.

Wkrótce policja ustaliła, że tego dnia 67-letni Kazimierz B. odwiedził mieszkającą w tym samym bloku konkubinę, u której był stały punkt zbiorny okolicznych piątków. Konkubina chciała się pozbyć Kazimierza B., zabrawszy mu wcześniej 150 tysięcy złotych. Doszło między nimi do kłótni i szarpaniny. Pijana kobieta chwyciła stojącą w kuchni butelkę z lizolem i uderzyła nią w głowę konkubenta. Butelka pękła zalewając go od stóp do głów. Mężczyzna wyszedł z mieszkania i wszedł do windy. Tu — jak wykazała późniejsza sekcja zwłok — dostał zawału serca i zmarł. Żrąca substancja chemiczna, jaką jest lizol, spowodowała rozległe poparzenia, które wyglądały, jakby całe ciało było pokrwawione.

Konkubinę zatrzymano do wyjaśnienia. Nie przyznaje się do niczego i twierdzi, że Kazimierza B. pobili jacyś jego koledzy, których nie zna. Sprawę prowadzi KRP Żoliborz.

E. S.

BECZKI SPIRYTUSU

27 lipca w godzinach rannych policjanci KRP w Tomaszowie Mazowieckim zatrzymali w miejscowości Olszowie przy trasie E-65 ciągnik siodłowy „Daś” z naczepą, na której znajdował się niecodzienny ładunek.

42-letni Karol T., właściciel firmy transportowej, przewoził właśnie 135 beczek zawierających po 200 litrów spirytusu każda. Zatrzymanie go nie było dziełem przypadku, lecz wynikiem wcześniejszej pracy operacyjnej i obserwacji prowadzonych przez

wydział do spraw pg KWP w Piotrkowie Trybunalskim i KSP. Zatrzymani kierowca nie miał żadnych dokumentów przewozowych ani celnych na wieziony towar. Spirytus przemycił przez przejście graniczne w Olszynie i miał go wieźć do Rosji. Tłumaczył, że nie wie, kto jest odbiorcą towaru, był pilotowany przez zleceniodawcę, który jednak „zgubił się” gdzieś na trasie.

Przewożony spirytus okazał się wysokiej jakości wyrobem francuskim. Jego wartość wynosi około 7 miliardów złotych. Zarekwirowany towar zostanie sprzedany, ale zgodnie z przepisami w takim przypadku może być użyty tylko do celów technicznych i Skarb Państwa zarobi na tym około 1,5 miliarda złotych.

Zatrzymano także ciągnik z naczepą. Kierowcę po przesłuchaniu zwolniono. Nie wiadomo, w jaki sposób udało mu się przemycić spirytus przez granicę, na razie zarzucić mu można tylko to, że wioził nie oclony ładunek. Sprawę prowadzi KWP w Piotrkowie Trybunalskim.

E. S.

UPAŁ I Ogień

Lipiec był szczególnie drastycznym pod względem liczby pożarów miesiącem. Wystąpiło w nim w Polsce ponad 22 tys. pożarów, w tym 4839 lasów, a 6275 upraw rolniczych. Najwięcej lasów strażacy gasili w województwach: warszawskim (306), zielonogórskim (305), radomskim (281), kieleckim (235) i katowickim (227).

Splonęły 1794 mieszkania oraz 252 obiekty użyteczności publicznej. Pożary wybuchły również w 272 zakładach produkcyjnych. W większości przypadków ich przyczyną było nieostrożne obchodzenie się z ogniem, zdarzały się również podpalenia. W walce z ogniem rany odniosło 73 strażaków, w tym jeden uległ poparzeniu śmiertelnemu. W lipcowych pożarach śmierć poniosło 27 osób cywilnych, a 206 zostało rannych.

P. Kit.

PRZYWIĄZANA DO ŁODÓWKI

2 sierpnia w Barciach (woj. ostrołęcki) trzej nieznani sprawcy napadli w nocy na samotnie mieszkającą w osiedlu wypoczynkowym Zakładów Radiowych im. Kasprzaka kierowniczkę Annę K., lat 61. Trzej zamaskowani mężczyźni dostali się do wnętrza budynku wyłamując kratę w oknie od łożni. Posługując się latarkami dotarli do pokoju przy recepcji, w którym spała kierowniczka. Pobili ją, a następnie rozebrali skrupułowali w tzw. pałak przywiązując koniec sznura do drzwi od łodówki. Zakneblowali ofiarę taśmą samoprzylepną. Zrabowali pieniądze pochodzące z opłat od wczasowiczów za mający rozpocząć się turnus w kwocie 47 mln zł. oraz biżuterię (pierścion-

SAMOOBRONA ZNÓW BEZKARNA?

Szef „Samoobrony” Andrzej Lepper po raz kolejny udowodnił, jak pojmuje prawo. Jeśli nie służy ono jego interesom, łamie je bez skrępowań, dorabiając do tego ideologię Janosika — obrońcy uciśnionych. „Uciśnionymi” są oczywiście ludzie z „Samoobrony”, rolnicy zadłużeni podobnie jak Lepper i protestujący przeciwko zgodnemu z prawem ściąganiu tych długów przez państwo. Takie zdarzenie miało miejsce ostatnio w miejscowości Kobylnica w województwie śląskim. 29 lipca bojówka „Samoobrony” ostrzygła i pobiła zarządcę komisarycznego wprowadzonego przez sąd do zadłużonego na ponad miliard złotych gospodarstwa. Stało się to na oczach tłumy ludzi i dziennikarzy TV, którzy sfilmowali końcową część tego wydarzenia, kiedy pobity Antoni Ch. wołał o pomoc. Na plecach miał krwawe pręgi od razów zadanych różgami.

Andrzej Lepper oświadczył przed kamerami telewizji, że nie wie, kto pobił Antoniego Ch., „Samoobrona” nie ma z tym nic wspólnego. Kilka dni później podczas konferencji prasowej powiedział dziennikarzom, to co kiedyś w wywiadzie dla naszego tygodnika — że przeciwko niemu i „Samoobronie” prowadzono już wiele spraw i wszystkie kończyły się uniewinnieniem, a zatem tak będzie i tym razem. Pocucie bezkarności Andrzeja Leppera jest zatrważające. Rzecznik prasowy Ministerstwa Sprawiedliwości Andrzej Cudała oświadczył, że prowadząca postępowanie przeciwko „Samoobronie” prokuratura ma zbadać także, czy w ogóle działalność tej organizacji jest zgodna z prawem.

W związku z wydarzeniem w Kobylnicy prasa zarzuciła policji całkowitą bezczynność. Komendant wojewódzkiej Policji w Słupsku podinsp. Henryk Bartczko przedstawił swoje stanowisko w tej sprawie oświadczając, iż 29 lipca policja została wezwana do wspomnianego gospodarstwa, ale w związku z innym wydarzeniem. Policjanci nie zostali poinformowani o ewentualnych konsekwencjach wizyty grupy Andrzeja Leppera w gospodarstwie, nikt też nie zgłaszał obaw ani nie prosił o podjęcie przez policję jakichkolwiek działań ochroniarskich.

Sprawę przeciwko „Samoobronie” prowadzi Prokuratura Wojewódzka w Słupsku, komendant wojewódzkiej Policji natomiast polecił wyjaśnić wszystko, co wiąże się z rolą policji we wspomnianym wydarzeniu.

E. S.

ki, łańcuszki, wisioriki) należące do Anny K. i jej krewnych. Napastnicy nie mieli broni, ofiarę bili pięściami w rękawiczkach.

Półprzytomną kierowniczkę uwolnił nad ranem dozorca i wezwał pogotowie. Zabrano ją do szpitala, jej rany nie są groźne. Policja zabezpieczyła na miejscu włókna pochodzące z kominiarek oraz inne ślady. Sprawą zajęła się komenda rejonowa w Wyszkowie.

P. Kit.

KRWAWY PORACHUNEK

Wypadek zdarzył się w pomieszczeniach lombardu, którego właścicielem jest Jerzy M. Biznesmena odwiedził mężczyzna, który jak się później okazało, również był biznesmem. Panowie przeprowadzili krótką, ale obfitych w śmiechy rozmowę. Jej finałem był strzał oddany do właściciela lombardu z broni palnej. Niebawem rozległ się drugi wystrzał. Obydwa — z pistoletu z tłumikiem.

Wystrzelone z bliskiej odległości pociski trafiły Jerzego M. w klatkę piersiową. Padł, ale nie stracił przytomności. Przed kolejnym strzałem obronił się pistoletem gazowym.

Napastnik zbiegł. Ale był znany pokrzywdzonemu, którego przewieziono do szpitala.

Po ucieczce z pomieszczeń lombardu, Maksymilian Cz., l. 35, nie wrócił do domu. W obawie przed odpowiedzialnością za popełniony czyn, ukrywał się. Wydarzeniu nadały szeroki rozgłos łódzkie mass media.

Telewizja i gazety opublikowały zdjęcie sprawcy postrzału. Wkrótce więc policjanci zdolali go zatrzymać.

W czasie wstępnego przesłuchania Maksymilian Cz. oznajmił, że użył broni na skutek irytacji, do której doprowadził go Jerzy M.

— Odmówił mi prolongaty długu, który wynosił 10 000 000 złotych — powiedział. Maksymilian Cz. został tymczasowo aresztowany.

(N)

UDERZYŁ W AUTOBUS

29 lipca wieczorem w Kołoząbie (woj. elbląskie) kierujący jelcem Waldemar R., lat 41, holując niesprawny samochód ciężarowy „Star” z przyczepą prowadzony przez o rok młodszego Juliusza B., w trakcie omijania zawadził holowaną przyczepą o autobus PKS. 11 pasażerów autobusu doznało obrażeń, z tego do szpitala przewieziono ośmiu osób. Sześciu poszkodowanych po opatrzeniu ran zezwolono na powrót do domu, w szpitalu pozostały 2 osoby w stanie ciężkim.

Jak ustaliła policja, winę za wypadek ponosi Waldemar R., który nie miał prawa holować samochodu z przyczepą. Ponadto kierowca jelca jechał ze zbyt dużą prędkością i nie zachował niezbędnej ostrożności przy omijaniu autobusu. Straty materialne wyniosły ok. 130 mln zł. Jego sprawca odpowiada z wolnej stopy.

P. Kit.

STUDIUM SŁUŻB OCHRONY OSÓB, MIENIA
I USŁUG DETEKTYWISTYCZNYCH

00-908 Warszawa 49
skr. poczt. 51

OGŁASZA NABÓR

PÓŁROCZNE STUDIUM dla absolwentów uniwersyteckich wydziałów
prawno-administracyjnych i po Wyższej Szkole Policji

oraz ROCZNE STUDIUM dla absolwentów pozostałych kierunków studiów

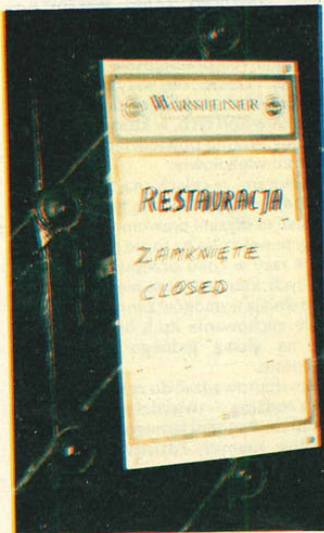
Ponadto prowadzi 2-miesięczne szkolenia Służb Ochrony Osób, Mienia
i Usług Detektywistycznych oraz straż: przemysłowej, miejskiej, bankowej itp.

Zgłoszenia: od 1 sierpnia br., tel. 36-94-41 i 47-93-53;
tel./fax 60-24-300 lub pocztą.

Rozpoczęcie zajęć — 1 października br.

OKUP (ACJA) NA STARÓWCE

Wszystko zaczęło się od kilku informacji telefonicznych do dyżurnego KSP. Dzwoniły anonimowe osoby informując, że na warszawskiej Starówce pojawiły się grupy osiłków podających się za mafie i proponujących „opiekę” nad restauracjami, kawiarniami, sklepami. Chłopcy z grupy „ochroniarzkiej” żądali za swe usługi w zależności od lokalu od 500 do 5000 dolarów miesięcznie. Po każdym takim telefonie na miejsce wysyłano radiowóz, ale nikt nie podejrzewał już nie było, a kupcy i restauratorzy nie składali oficjalnych zawiadomień o przestępstwie.



I tak powstała zagadka prawna, nad którą zaczęły się głowić najcięższe umysły w prokuraturze, policji, w Warszawskim Ratuszu i jakby szukało się na wojnę zajął się tym też Wojewódzki Komitet Obrony. Zastanawiano się, czy policja nie dysponując materiałem procesowym bądź nie mając oficjalnego zgłoszenia o przestępstwie lub też żądania interwencji w przypadku naruszenia prawa, może podjąć jakieś konkretne działania poza nasileniem służb patrolowych. Jednak do konkretnych ustaleń nie doszło.

Restauratorzy oraz kupcy skrzyknęli się i ogłosili coś w rodzaju strajku: w piątek, sobotę i niedzielę nie będą czynne lokale. I tak też się stało. Ponad dwieście lokali zamknięto na klucz. U „Fukiera” kręcił się tylko ów przysłowiowy pies z kulawą nogą. Właściciel sklepu spożywczego przy ul. Świętojańskiej rozpoczął sprzedaż jak zwykle, ale mieszkańcy zagrozili, że jeśli go nie zamkną, nie będą u niego kupować.

Zamknął. Jednak kilka lokali — „Lapidarium”, tzw. Glant, galeria Jacka Kilińskiego i restauracja na Nowym Świecie — nie przyłączyło się do protestu. W niedzielę pracował też „Hor-tex”. „Lapidarium” i Kiliński zgodzili się na usługi agencji ochrony „Eskorta”. Agencja jest z Wołomina.

Większość restauratorów zdażyła odwołać zamówione towary, ale ich straty i tak będą spore, bo w weekend

wykonują 50 procent tygodniowych obrotów.

Z inicjatywy Stowarzyszenia Prywatnych Przedsiębiorców Traktu Królewskiego wojewoda spotkał się z komendantem stołecznym Policji insp. Jerzym Stańczykiem, prokuratorem wojewódzkim Jerzym Łabudą i dyrektorem zarządu dzielnicy Śródmieście Janem Rutkiewiczem, aby zastanowić się nad formą pomocy dla restauratorów i handlowców ze Starówki. Wojewoda warszawski Bohdan Jastrzębski zaangażował do posłów o regulację prawne pozwalające na walkę ze zorganizowaną przestępczością.

Mając takie wsparcie, policja przystąpiła do bardziej zdecydowanych działań. W Komendzie Stołecznej Policji uruchomiono specjalny telefon, którego numer podano tylko członkom stowarzyszenia. Oficerowie KSP wyjaśnili, jak należy działać w przypadku prób wyłudzenia okupów. W weekend na Starówce zaroilo się od policyjnych patroli pieszych i zmotoryzowanych. Praktycznie każdą ulicę kontrolowano w systemie trzymianowym. Do akcji wkroczyli też policyjni komandosi. A ci jak już się biorą do roboty, to się ziemia trzęsie. Przekonało się o tym kilku kandydatów na mafiosów, a zwyczajnie drobnych opryszków, którzy nieopatrznie zapuścili się na Starówkę. Jeden, ze strachu zmoczył spodnie, przyrzekł, że nie pojawi się tu nawet z rodziną, która ma przyjechać do niego z Berlina. W nocy z piątku na sobotę policja zatrzymała przestępcę, który z pistoletem w ręku wpadł do pubu przy Krakowskim Przedmieściu i zażądał forsy. Ten bardziej przypominał pomyłka niż sycylijskiego mafioso. Zatrzymano osobnika posiadającego przy sobie broń gazową bez pozwolenia i legitymację skradzioną policjantowi.



A, jak zwykle niekonwencjonalnie działający, burmistrz Śródmieścia Jan Rutkiewicz zapowiedział podjęcie zdecydowanych działań przeciw restauratorom, którzy wylamali się z protestu. Nie przedłuży umów lub podnieście czynsze, czyli wojna na Starówce trwa na kilka frontów.

Z OSTATNIEJ CHWILI: Prokurator wojewódzki Jerzy Łabuda poinformował o wszczęciu śledztwa w sprawie o wymuszanie okupu. Nie przeciw konkretnej osobie, ale w sprawie. Więc w tematyce prawnej też coś drgnęło.

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Mokrzyński



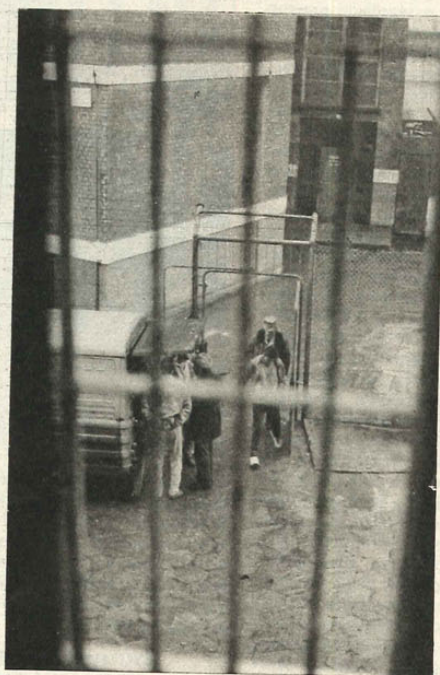
PRZEPUSTKI ZZA KRAT

Zgłoszenia o włamaniach do dwóch sklepów i hurtowni spożywczej dotarły do komendy policji między 7.00 a 8.00 rano, kiedy do okradzionych obiektów przybyli pracownicy, by je otworzyć. Policjanci, jak zwykle w takich przypadkach, przystąpili do szczegółowych oględzin. Szybko zorientowali się, że we wszystkich przypadkach technika działania sprawcy jest identyczna. Kraty zostały przecięte tym samym narzędziem, w identyczny sposób ukręcone klódki, tak samo otwarte zamki. Mało tego, po zebraniu wszystkich danych jeden z policjantów, prowadzących śledztwo w sprawie włamań sprzed dwóch lat przypomniał sobie, że metoda ta coś mu przypomina. Zajrzał do akt i stwierdził, że identyczne włamanie jakie miały miejsce na tym terenie dwa lata temu, były dziełem Kowalskiego. Niestety, skojarzenie to niczego do sprawy nie wniosło. Kowalski półtora roku temu został skazany na 3 lata pozbawienia wolności i w tej chwili odsiaduje wyrok...

Szukano więc nadal sprawcy trzech włamań. Nie znaleziono. Sprawę umorzono z powodu niewykrycia sprawcy. I tylko czysty przypadek sprawił, że policjanci pół roku później dowiedzieli się o tym, iż w tym czasie, gdy włamano się do dwu sklepów i hurtowni spożywczej, Kowalski przebywał

NA PRZEPUSTCE

z zakładu karnego. O rozgoryczeniu policjantów nie muszę chyba nikogo przekonywać. Najpierw napracowali się, by wykryć serię włamań, zatrzymać przestępcę i zgromadzić dowody jego winy. Potem, kiedy wyrok sądu wyeliminował go na kilka lat z przestępczej działalności, znów mieli do wyjaśnienia podobną sprawę. A ich zupełnie słuszną dedukcją wzięła w łeb w zarodku, ponieważ jest oczywiste, że ktoś, kto



siedzi w więzieniu nie może się jednocześnie włamywać do sklepów i hurtowni.

Jeszcze bardziej drastycznym przykładem jest sprawa warszawskiego „łomiarza”, który wychodząc na przepustki z Zakładu Karnego w Łowiczu dopuścił się serii morderstw popełnionych na kobietach. Z tego powodu nawet niektórzy politycy, chcący wykorzystać nastroj oburzenia i przerażenia w społeczeństwie, domagają się dymisji kierownictwa Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, zaostrzenia rygorów i zniesienia przepustek dla skazanych. Czy jest to rzeczywiście jedynie słuszną drogą?

W przytoczonym na wstępie przykładzie wystarczyłoby tylko, aby informacja o przepustce dla skazanego włamywacza dotarła do komendy policji w miejscowości, do której udał się odbywający karę. Policjant, który skojarzył obecne włamanie z tymi sprzed dwóch lat i jednocześnie dostał telegram o 5-dniowej przepustce Kowalskiego, nie miałby już żadnych problemów z wykryciem przestępstwa.

Sprawa „łomiarza” jest na pewno bardziej bulwersująca. Tutaj gdzieś ktoś popełnił znacznie większy błąd w sztuce, ponieważ ten przestępca w ogóle nie powinien dostawać przepustek. Tylko skąd wiedzieć komu można na nie pozwolić, a komu zabronić?

CO MÓWIĄ PRZEPISY?

Art. 55 paragraf 3 kodeksu karnego wykonawczego mówi o tym, że najwyższą nagrodą dla skazanego jest

zezwoleńie uprawniające do opuszczenia zakładu karnego na czas nie przekraczający 5 dni. Z nagrody może korzystać jedynie skazany, wykazujący się dobrym zachowaniem i postępami w resocjalizacji, po odbyciu co najmniej połowy tej części kary pozbawienia wolności, po której może być warunkowo, przedterminowo zwolniony.

Art. 59 paragraf 1 dodaje, że w wypadkach losowych sędzia penitencjarny może zezwolić skazanemu na opuszczenie zakładu karnego, w miarę potrzeby w asyście funkcjonariusza Służby Więziennej, na czas nie przekraczający 5 dni.

Na tej właśnie podstawie w ub. r. udzielono skazanym 264 801 zezwoleń na czasowe opuszczenie zakładu karnego. Nie powróciło 12 643 skazanych. Przedstawiciele Służby Więziennej twierdzą, że podczas pobytu na przepustkach oraz niepowrotach więźniowie ci popełnili 700 przestępstw. Obawiam się, że było ich więcej. Przecież nie wszystkie (przypomnijmy choćby przykład znajdujący się na wstępie) zostały wykryte. A wśród tych, w których do dziś sprawca nie jest znany, trudno powiedzieć, jaki procent mają na sumieniu więźniowie.

Każdego dnia za murami, w celach znajduje się ich około 62,5 tysiąca. 14,5 tysiąca stanowią tymczasowo aresztowani, pozostali to skazani prawomocnymi wyrokami sądu. Liczby te wskazują na to, że przeciętnie 1 skazany dostaje 4 razy w roku przepustkę. Kiedy jednak odejmiemy tych, którzy jeszcze nie odbyli połowy kary lub nie spełniają wymogów z innych względów (recydywa, złe zachowanie itp.), liczba wydanych przepustek na głowę jednego skazanego zwiększy się dwukrotnie.

— Nie wolno nam doprowadzać do zerwania kontaktów skazanego z rodziną — twierdzi z całą stanowczością dyrektor Biura Penitencjarnego Centralnego Zarządu Zakładów Karnych Zdzisław Turek. — Inaczej więzień po odbyciu kary straci kontakt z rodziną i po odsiedzeniu wyroku nie wróci do niej, lecz trafi do swoich starych kompanów. A ci już będą mieli dla niego gotowe propozycje na przyszłość. Wiadomo jakie.

— Liczba niepowrotów z przepustek — kontynuuje dyrektor Turek — zmalała u nas z 7 do 3,5%, kiedy np. na Zachodzie waha się w granicach 5—6%. A



mimo to tam nikt nie postuluje, by zakazać wydawania przepustek skazanym, gdyż byłoby to po prostu niehumanitarne.

Podobnego zdania jest sędzia Stanisław Fidecki z Departamentu Sądów i Notariatu Ministerstwa Sprawiedliwości. Departament ten w czerwcu br. opracował specjalny dokument dotyczący praktycznej strony udzielania skazanym zezwoleń na opuszczenie zakładu karnego

Z PRZYCZYN LOSOWYCH

— Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na to — twierdzi Stanisław Fidecki — że przyczyny losowe są to wydarzenia nie dające się przewidzieć czy sprogować, jak śmierć osoby najbliższej, czy poważna choroba skazanego. Ale, jak się okazuje, wśród przyczyn wykorzystanych do wydania przepustek losowych przez naczelników zakładów karnych lub sędziów penitencjarnych znalazły się takie „wypadki losowe” jak np.: wstawienie protezy u stomatologa, likwidacja książki mieszkaniowej, zjazd absolwentów liceum czy pielgrzymka do Częstochowy...

Udzielanie więźniom przepustek z powodu wypadków losowych jest szczególnie niebezpieczne, ponieważ nie ma tu podziału na recydywistów, osoby skazane za najcięższe zbrodnie, karane dyscyplinarnie podczas odsiadki, nie rokujące nadziei na readaptację do życia w społeczeństwie itp. Dlatego właśnie, kiedy już zaistnieje rzeczywisty wypadek losowy (nie mylić z pielgrzymką do Częstochowy) i więzień, który stanowi poważne zagrożenie musi opuścić zakład karny, powinien zrobić to w asyście funkcjonariusza Służby Więziennej.

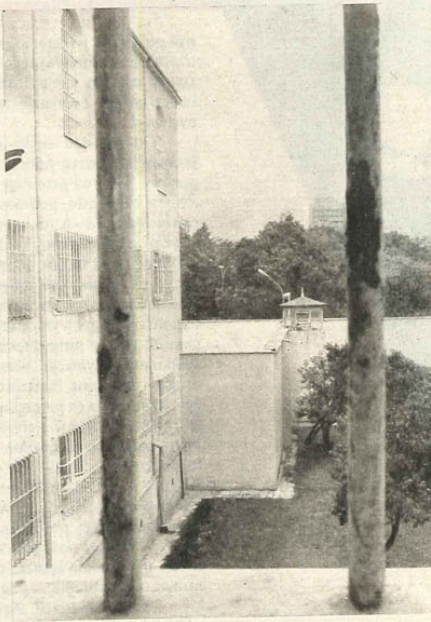
Niestety, w tej kwestii brak jest ścisłych uregulowań prawnych, a co gorsze występujące braki kadrowe i finansowe sprawiają, że średnio na 10 koniecznych asyst przydziela się 2 i to tylko w wypadkach 1-dniowych przepustek.

Toteż sędzia penitencjarny często przed wydaniem przepustki z powodów losowych staje przed dylematem: albo odmówić i złamać obowiązujące przepisy, wywołać agresję więźnia lub nawet próbę samobójstwa (co jest częstą reakcją w takich wypadkach), albo wyrazić zgodę na udzielenie przepustki i tym samym narażać się na ogromne ryzyko niepowrotu więźnia lub popełnienia przezeń przestępstwa.

Wydaje się, że przy takiej alternatywie świadomość potencjalnego zagrożenia będzie miała decydujący wpływ na sędziego lub naczelnika zakładu karnego. Tymczasem praktyka świadczy o czymś przeciwnym. Toteż spośród każdego 100 przepustek wydanych z przyczyn losowych w 21 wypadkach korzystający z nich więźniowie i aresztanci nie wracali dobrowolnie do celi. Czy jest więc jakiś

ZŁOTY ŚRODEK?

Próby tworzenia w Polsce demokratycznego, humanitarnego i praworządnego państwa muszą owo-



cować także bardziej ludzkim traktowaniem skazanych niż miało to miejsce dotychczas, choć nierzadko bulwersuje to praworządnych obywateli. Ale normy prawa międzynarodowego, opracowane przez ONZ Wzorcowe Reguły Minimum Postępowania z Więźniami wyraźnie mówią o konieczności przyznawania skazanym przepustek po odbyciu połowy kary, by mieli szansę przygotowywać się do powrotu do społeczeństwa i normalnego życia. Oczywiście, nie wszyscy więźniowie przywilej ten wykorzystują właściwie. Dlatego niezwykle istotny jest rozsądek podczas decydowania o tym, komu i ile razy udzielić przepustki. Myślę, że zajmować się tym problemem powinna specjalna komisja, która badałaby wszystkie związane z tym aspekty takie jak: za co dany więzień został skazany, jego zachowanie w zakładzie karnym, predyspozycje psychiczne, stopień readaptacji itd., itd. Niestety, w początkowej fazie liberalizacji życia także w zakładach karnych zaczęto postępować trochę na hura, przepustki wydawać jak leci, byleby wyczerpać limit i wykazać się jak największym humanitaryzmem. Z jednej skrajności popadnięto w drugą. Absolutnie nie o to chodzi.

Drugą niezwykle istotną kwestią jest powiadamianie policji o każdej wydanej skazanemu przepustce oraz wprowadzenie wymogów formalnych wobec przepustkowicza. 7 lipca br. weszły w życie niezwykle istotne uregulowania prawne w tej dziedzinie. Minister sprawiedliwości podpisał dokument, który nakazuje każdemu skazanemu lub aresztantowi przebywającemu na przepustce zgłaszać się raz dziennie w jednostce policji najbliższej w stosunku do miejsca pobytu przepustkowicza i otrzymywać tam pieczętkę poświadczającą owo zgłoszenie. Bez tychże pieczątek po powrocie skazany lub aresztant na następną nie będzie miał co liczyć. Od 7 lipca każdą przepustkę sporządza się w dwóch egzemplarzach. Jeden stempluje przebywający na niej, drugi, wysyłany jest do jednostki policji w miejscowości, do której udaje się przepustkowicz.

Nawet jeśli zawiadomienie o wydanej przepustce dotrze na policję z opóźnieniem, gdy korzystający z niej więzień już wróci, a wcześniej dokona kilku przestępstw, policjanci w końcu dostaną wiadomość o jego pobycie na ich terenie i sprawę będą mogli wykryć. Przypadek Kowalskiego ze wstępu tego artykułu już się nie powtórzy. Ale dla policjantów (i nie tylko) pozostanie dalej inny problem. Danego przestępstwa przecież w ogóle mogłoby nie być, gdyby Kowalski nie dostał przepustki.

No cóż, jak widać złotego środka tak naprawdę nie ma i chyba nie tylko w tej kwestii. Czy, aby nie dopuścić do kolejnych 700 (stwierdzonych i wykrytych) przestępstw popełnionych przez skazanych przebywających na przepustkach, należy pozbawić ich prawa do największej nagrody, jaką dla więźnia jest kontakt z najbliższymi i normalnym życiem? Wielu z nich przecież już nigdy nie wróci za więzienne mury.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. K. Mokrzyński

UWAGA CZYTELNICY!

Już czas wznowić prenumeratę naszych czasopism „Magazynu Kryminalnego 997” i „Gazety Policyjnej”

Zgłoś się do swojego kolportera!

W PRENUMERACIE TANIEJ!

„Magazyn Kryminalny” — 54 000 zł
„Gazeta Policyjna” — 21 000 zł

Należności za prenumeratę należy wpłacać na konto: BPH O/III Warszawa Nr 320049-433-130-1 ZAG KGP z dopiskiem prenumerata za IV kw. 1994 r.

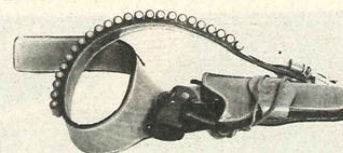
**Pomaturalna Szkoła
Detektywów i Pracowników Ochrony**
Kraków, ul. Kościuszki 54, tel. 67-14-86, tel./fax 67-36-13
**organizuje sześciotygodniowe kursy
pracowników Ochrony Osób i Mienia**
(w tym sobotnio-niedzielnym)
Zapraszamy chętnych z wykształceniem zasadniczym i średnim

**2-letnia Pomaturalna Szkoła Detektywów
i Pracowników Ochrony przy K.S. „Promień”
ogłasza nabór młodzieży**
(dziewcząt i chłopców) na rok 1994/95
w systemie dziennym i zaocznym
Zgłoszenia do 10 września. Codziennie od godz. 8-18
Kraków, ul. Kościuszki 54, tel. 67-14-86 tel./fax 67-36-13

Zakład Rymarski

BAZA
SHOOTING SYSTEM
proponuje

Ponad 100 wzorów
KABUR

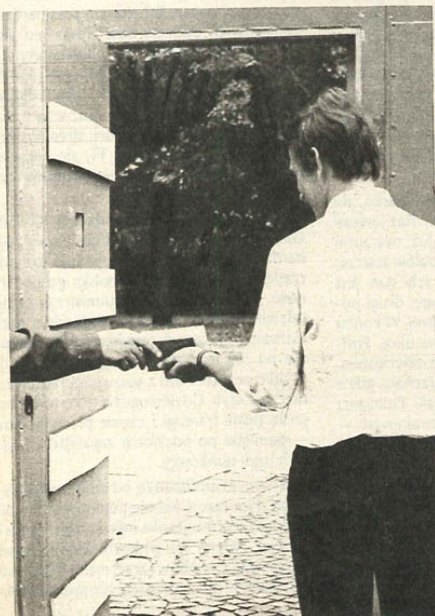


Nasz wyrób gwarantuje
wysoki komfort noszenia
i funkcjonalność broni.

Oferujemy też pokrowce
do magazynków, kajdanek,
pałek, gazów, latarek itp.

ZAPRASZAMY

Warszawa-Anin, Trawiasta 50 B
tel./fax 15-37-42





Tekst i zdjęcia
PRZEMYSŁAW KACAK

trol policji. Po wskazaniu przez świadka zatrzymano domniemanego sprawcę. Punkowcy próbują jednak odbić z radiowozu swego kolegę. Zaczynają się pogroźki, przepychanki.

— On ma stąd wyjść, rozumiecie... — próbuje zastraszyć policjantów przywódca punków. Liczy na przewagę swojej grupy — ich jest kilkunastu, podczas gdy funkcjonariuszy ledwie 5—6 (dwa radiowozy). Mają zwykłe, letnie mundury i tylko krótkie pałki.

Wskakuję na murek oddzielający park od ulicy i zaczynam robić zdjęcia. Tłumek jest jednak najwyraźniej uczulony na aparat fotograficzny. Trzech chłopaków niemal natychmiast usiłuje mnie zepchnąć. Kiedy nie skutkuje legitymacja prasowa, pokazuję drugą — policyjną. Punkowcy są na zbyt dużym hajcu, by na to zareagować. Próbuje dalej robić zdjęcia, już z chodnika. Gdy podnoszę aparat do oka, jeden ze stojących na murku punków kopie mnie w twarz. Okulary lądują na bruku. Podrywam je. Cud, że całe. Niewiele myśląc, macham ku napastnikowi legitymacją policyjną, krzyczę „stój, policja” i rzucam się w jego stronę. Chłopak wieje, ale — mimo aparatu na szyi i ciężkiej torby z resztą sprzętu — doganiam go po jakiś trzydziestu metrach. Błyskawicznie otacza nas 5 gości z czubami lub podgolonymi głowami. Chwytają moje ręce, torbę, obiektyw aparatu. Zaczyna być gorąco. Wyrrywam się, nim padną ciosy. Wracam do radiowo-

Przed wejściem do parku leży zakrwawiony chłopak. Zebrana wokół niego grupka historycznie wzywa karetkę pogotowia. Nie bardzo wiadomo, czy ktoś pobiegł zadzwonić po nią. Tymczasem mały pododdział policji próbuje zająć punków od tyłu. Dociera akurat w poblizsze miejsca, gdzie leży ranny. Słyszając prośby o wezwanie karetki, funkcjonariusze usiłują zbliżyć się do leżącego. Z parku sypie się jednak tyle kamieni, że jest to niemożliwe. Później zaryzykują raz jeszcze i pod osłoną tarcz przeniosą chłopaka do karetki.

— Kto wie, czy w ten sposób nie uratowali mu życia, bo bardzo krwawił — skomentuje już po zajęciach lekarz.

Zadyma trwa około dwóch godzin. Dopiero o 18.00, po ściągnięciu posiłków, policji udaje się przywrócić spokój w mieście.

— Będą musieli zawiesić festiwal — prokuje fotoreporter, który razem ze mną robił zdjęcia podczas zajść. Nie dochodzi jednak do takiej sytuacji — wieczorne koncerty odbywają się na wszystkich trzech scenach. Już bez przeszkód.

Dzień drugi: LIZANIE RAN

— Skąd tyle agresji? To chyba już jakieś zezwierzęcenie — lekarz, który bada mnie

TRIUMF (?)

— Tegoroczny festiwal jest najgorszy — mówi badający moje obrażenia lekarz pogotowia.

Dzień pierwszy: AGRESJA

W amfiteatrze, na tzw. małej scenie, występują od rana kapele punkowe biorące udział w konkursie. Gdy się tam pojawiają, prowadzący zapowiada akurat nową grupę. Jej lider prosi, by nikt nie nagrywał, gdy będą dawać czadu.

— Mam jeszcze prośbę do reporterów — tu zawiesza głos, by za chwilę niemal eksplodować krzykiem — wypierdalać! Publiką jest już nieźle rozgrzana. Entuzjastycznie podchwytuje hasło. W sumie jednak

jest jeszcze dość spokojnie. Kilkadziesiąt barwnych czubów, nie bacząc na tumany kurzu wzbijane ciężkimi buciarzami, szaleje pod sceną w opętającym pogo. Reszta okupuje ławeczki widowni i okolice amfiteatru. Wszyscy żywiołowo reagują na to, co spływa ze sceny. Lider kolejnego zespołu, który wita słuchających słowami „jechać skinów-faszystów” z miejsca zyskuje sobie ogromny poklask. Wśród pogosów pod sceną prawdziwa ekstaza.

Tymczasem w parku na tyłach amfiteatru dochodzi do bójki między dwiema grupami punków. Podobno o karnet zerwany z szyi jednego z nich. Takie przynajmniej zgłoszenie przyjmuje znajdujący się w pobliżu pa-

zów, gdzie proszę o pomoc. Funkcjonariusze niewiele jednak mogą zrobić. Sami są w coraz większych opałach. Jeden z nich melduje przez radio o pobiciu policjanta i wzywa posiłki.

Po paru sekundach podjeżdża kilka furgonetek z oddziałem prewencji. Idzie on w stronę amfiteatru, a po chwili wraca biegiem do radiowozów. Tu zaczynają lecieć na policjantów kamienie. Wkrótce punkowcy rzucają wszystkim, co wpadnie im w ręce: płytami chodnikowymi, fragmentami ławek, butelkami... W mgnieniu oka amfiteatr pustoszeje. Część punków zostaje na jego zboczach, skąd obserwuje zmagania, a ponad setka zbiega na dół, by wspomóc swoich. Z czasem dołączają kolejni. Zaczyna się regularna bitwa. W pewnej chwili spod parkowych drzew padają dwa strzały w stronę policjantów. Jeden z funkcjonariuszy widzi celującego z pistoletu punka. Dwa, trzy razy strzela do niego z ręcznej wyrzutni granatów łzawiących, ale ta zaczyna się. Strzela więc jego kolega — tym razem już gumowymi kulami różnego typu. Chłopakowi z pistoletem udaje się jednak zgubić w tłumie.

Policjanci starają się wycofać z parku, ale dwóch z nich zostaje odciętych. Raz jeszcze trzeba użyć, odblokowanej już, wyrzutni granatów łzawiących. Pięć strzałów starcza, by oswobodzić osaczonych. Ich stan jest kiepski: jeden ma złamaną nogę, drugi poważne stłuczenia klatki piersiowej. W końcu policja wycofuje się z parku na ulicę. Punkowcy traktują to jako swoje zwycięstwo. Rzucają się do przodu, ale pierzchają, gdy z przeciwka nadchodzi kontratak. Policjanci stają, ich dowódca usiłuje pertraktować — nie uderzymy, jeśli wy przestaniecie rzucać kamienie. Negocjacje przynoszą pewien efekt, ale ci z tylnych szeregów znowu zaczynają miotać ciężkie przedmioty. Walka rozpoczyna się na nowo. Później dowódca policjantów będzie raz jeszcze próbował rozmawiać, ale sytuacja powtórzy się co do joty — znowu z tyłu tłumu polecą kamienie.

na pogotowiu jest wyraźnie zszokowany tym, co zaszło.

— O tym, jak poważne były to zajścia i jak wielki był stopień agresywności wśród punków świadczyć może fakt, że na 28 poszkodowanych osób cywilnych mamy 50 poszkodowanych policjantów — mówi nadkom. Mirosław Bryła, rzecznik KWP w Kaliszu, oddelegowany na czas festiwalu do KRP w Jarocinie. — 12 z nich poddanych jest hospitalizacji, gdyż doznało poważniejszych obrażeń. Są to głównie złamania kończyn, palców oraz rany cięte i tłuczone głowy, szyi, tułowia. Jako smaczek mogę powiedzieć, że pewien chłopak z przestrzelonym ramieniem, opatrzonego w szpitalu jako ofiara zajść pod amfiteatrem, został uwieczniony na naszym wideo. Był jednym z najbardziej agresywnych podczas zajść. Teraz jest jednym z czterech zatrzymanych. Niestety, nie zatrzymaliśmy jeszcze tego, który strzelał do policjantów. Mamy jednak jego zdjęcie. Trwają ekspertyzy, które pozwolą ustalić, z jakiego rodzaju broni strzelał. Najprawdopodobniej była to TT, ale nie wiemy jeszcze, czy na amunicję kulową czy śrutową.

W piątek na rogu ulic Zamkowej i św. Du-cha, gdzie poprzedniego dnia trwały najbardziej zaciecie zmagania, panuje już porządek. Wiadomo, wielkopolska gospodarność. Jeszcze wieczorem burmistrz Jarocina udzielił wszelkiej pomocy niezbędnej przy usuwaniu zniszczeń (oszacowanych wstępnie na 300 mln złotych, bez strat policji). Szybko oczyszczono z gruzu ulicę, wstawiono część szyb. Gdzieniedzie tylko widać jeszcze puste framugi i czarne plamy kopcia — pamiątki po pociskach zapalających, jakich użyli punkowcy.

W samym amfiteatrze od rana trwają występy. Tym razem już nie punkowych kapel. Ze sceny leci mieszanek metalu, hard rocka i ostrego bluesa. Na widowni królują teraz długie włosy, czubów raczej mało. Wychyła się zupełnie inną atmosferą niż poprzednie-





Kilka minut później (zaznaczony na zdjęciu) chłopak kopnął fotoreportera „MK 997”, gdy ten robił zdjęcie.



FESTIWALU

go dnia. Nikt nie wrzeszczy: wypier..., jeb...

— Szkoda, że w Jarocinie robi się coraz większy syf i coraz więcej jest takich, co przyjeżdżają tylko po to, żeby zadymić — mówi jeden ze słuchających. — Ja tam wolę muzykę.

Wieczorem na stadionie, na tzw. dużej scenie, niezły koncert dają grupy zaproszone na festiwal przez radio RMF. Najwięcej uznania zaskarbiają sobie zespoły Closterceller i Proletariat oraz... straż pożarna, która polewa wodą sążnięcych przed barierkami pogosów.

Dzień trzeci: MUZYKA

Z ulic znikają już całkowicie rozstawione po zadymie policyjne wozy. Jakby coraz więcej księży i grup religijnych, zresztą bardzo widocznych podczas festiwalu. Młodzież z plakietkami „Poznaj Jezusa” płasza oraz gra na rynku i przed kościołami, a duchowni toczą w tym czasie żarliwe dyskusje z punkami, metalowcami i innymi zagubionymi duszyczkami. Nie próżnują też krishnaici, którzy rozpowiadają o reinkarnacji i rozdają żywność podczas wieczornych koncertów.

Sobota to dzień koncertu finałowego, na którym zagrają laureaci i zaproszeni goście. Mimo iż jest on właściwie najważniejszy, wiele osób wyjeżdża, nim koncert się rozpocznie. Wysłuchały już swoich upatrzonych kapel, zaszalały, pora więc do domu. Reszta ma swoje prawdziwe muzyczne święto — aż do niedzielnego świtu. Są gwizdy uznania, podziękowania, bisy i dużo, dużo muzyki. Nareszcie jak na festiwalu. Szkoda, że po wielkich bólach.

Chyba nie bez racji mówi się, że jarociński festiwal z roku na rok jest gorszy. Zarówno w sferze muzycznej — w której mamy już niemal monokulturę punk rocka z dość wulgarnymi tekstami i prymitywną linią melodyczną, jak i w sferze organizacyjnej — gdzie, po wycofaniu się Waltera Chelstowskiego, kolejnym menedżerom brakuje pomysłu tak na sam festiwal, jak i na powiązanie końca z końcem. W zeszłym roku organizatorzy wstawili się nie tylko wynajęciem firmy ochroniarzkiej, której pracownicy przywracali porządek kijami baseballowymi, lecz i uznaniem się za niewypłacalnych, w efekcie czego wielu ludzi z obsługi do dziś nie zobaczyło złamanego grosza za swą pracę. W tym roku zresztą też mogą być problemy finansowe (założono, że festiwal wyjdzie na zero, jeśli sprzedanych zostanie 15 tys. karnetów, poszło ich tymczasem ledwie nieco ponad 11 tys.).

Na te mankamenty nakłada się coraz większa agresja wśród przyjeżdżającej do Jarocina młodzieży. Problem ten tak scharakteryzował (w wywiadzie dla „Głosu Wielkopolskiego”) dr Mirosław Pęczak, socjolog kultur alternatywnych: „Bywalcy Jarocina na co dzień są outsidersami, a tu — na festiwalu czynią z tego oręż. Akty agresji są pokazami tego, jak źle im się żyje. Ten festiwal zamiast być świętem, jest raczej polem ekspresji negatywnej”.

I będzie tak, dopóki nie zmieni się w jakimś stopniu formuła imprezy, bo — jak dotychczas — agresja jest jakby programowo wpisana w jej ołoczkę. Godzą się na to organizatorzy, wykorzystując niektórzy wykonawcy. Łatwiej zdobyć popularność. A, przy całym poszanowaniu dla ich artystycznej swobody, może powinni zastanowić się, nim wyrzesczczą ze sceny: reporterzy wypier..., nim w jakikolwiek inny sposób wyzwolą skumulowaną w outsidersach agresję. Może wtedy w Jarocinie nikogo nie będzie się kopać w twarz.

Przeł



WIELKA BRYTANIA



UZBROJONY „BOBBY”

„Wszyscy doceniamy wartość tradycyjnego obrazu brytyjskiego Bobby. Ale naszą misją jest zapewnienie porządku w realnym świecie. Wyposażenie i wyszkolenie policji musi być dostosowane do tego świata”. To właśnie w imię realizmu szef Scotland Yardu Paul Condon, zerwał z mocno ugruntowaną tradycją. Na londyńskich ulicach pokazały się patroli uzbrojone w rewolwery Smith and Wesson, kal. 38 przy biodrze oraz pistolety maszynowe Heckler und Koch na ramieniu. Na początek tylko 36 funkcjonariuszy „Metropolitan Police” pełni służbę patrolową z takim uzbrojeniem, chociaż obecnie 1900 policjantów z 28 000 funkcjonariuszy garnizonu londyńskiego posiada zezwolenie na użycie broni palnej. Obowiązujące przepisy pozwalają jej użyć tylko na rozkaz bezpośredniego oficera. Broń jest wożona w samochodach policyjnych, pod zamknięciem, w specjalnych kufrach. Z ogólnej liczby 130 000 brytyjskich policjantów tylko 11 000 jest przeszkolonych w posługiwaniu się bronią palną.

W 1993 roku 18 000 brytyjskich policjantów padło ofiarą agresji. Dwóch zostało zabitych, a dziesiątki ciężko rannych. To m.in. skłoniło kierownictwo angielskiej policji do złamania tradycji „Bobby” bez broni.

oprac. MARIAN OWCZAREK

TADŻYKISTAN

ZBRODNIA RODZI ZBRODNIĘ

Siły MSW w stolicy Tadżykistanu — Duszanbe postawiono w stan gotowości bojowej po ostatniej fali zabójstw, będącej najprawdopodobniej efektem porachunków zorganizowanych grup przestępczych o charakterze mafijnym. Zamordowano siedmiu biznesmenów w Dzielnicy Gisarskiej, na peryferiach Duszanbe.

Przestępcza grupa najpierw zaprosiła „przyjaciół” w gości, zwabiła ich w ustronne miejsce, po czym ich rozstrzelała. Bandyci usiłując zatrzeć ślady, spalili ciała zabitych i zakopali je w ziemi. Szczęśliwym zrzędzeniem losu, jednemu z zaproszonych biznesmenów udało się zbiec, dzięki czemu zabójcy zostali aresztowani.

W kilka dni później dokonano zamachu na wiceprezydenta Republiki Tadżykistanu A. Dustojewą. W trakcie strzelaniny jaka się wywiązała, zginął kierowca i w jednej osobie agent ochrony wiceprezydenta, sam zaś wiceprezydent otrzymał kilka postrzałów i został przewieziony do szpitala.

W tadżyckiej telewizji wystąpił minister MSW republiki, który wezwał mieszkańców Duszanbe do zachowania spokoju oraz obiecał odszukać winowajców i oddać ich pod sąd. Nieoficjalne źródła donoszą, że w zbrodni, o których mowa, zamieszany jest sam szef organów ścigania republiki. Przedstawiciele władzy wykonawczej Dzielnicy Gisarskiej zażądali dymisji ministra i przeszli do opozycji wobec rządu.

Najbardziej sensacyjnym zabójstwem było jednak zamordowanie dy-



rektora generalnego spółki tadżycko-amerykańskiej „Interfor”, należącej do W. Nirmana. Znany biznesmen został zastrzelony w pobliżu domu na oczach czteroletniego syna. Oficjalne źródła nie wskazują na motyw zbrodni. Obecność na pogrzebie członków rządu oraz przedstawicieli zagranicznych spółek i ambasad obcych państw potwierdza tylko, jak wielkimi wpływami cieszył się zamordowany. Wprawdzie rząd ogłosił nagrodę w wysokości jednego miliona rubli za wskazanie zabójcy, wątpliwe jednak, czy sprawca zbrodni zostanie zdemaskowany.

Na tle zabójstwa Nirmana praktycznie nie zauważone przeszło zamor-

dowanie dziennikarza gazety „Dzumchurijad” — M. Szajdarcho oraz śmierć rosyjskiego żołnierza kontraktowego z 201 dywizji zmechanizowanej, którego znaleziono z przetrześniętą głową na obrzeżach Duszanbe.

Napięcie w stolicy Tadżykistanu wzmagają pogłoski o ofensywie sił zbrojnych opozycji oraz popierających ją mudżachedinów na granicy tadżycko-afgańskiej. Zdaniem korespondenta „Literaturnej Gaziety”, cała nadzieja mieszkańców republiki w koalicyjnych siłach pokojowych i 201 rosyjskiej dywizji zmechanizowanej, stojących w gotowości bojowej.

na podst. „Literaturnej Gaziety” (nr 21/94) oprac. Waldemar Gajewski



Francja

WALKA O ŻYCIE NA DROGACH

We Francji w wypadkach drogowych w 1993 roku zginęły 9052 osoby, a dwadzieścia lat wcześniej w 1972 roku — 16 617 osób. Chociaż nastąpiła poprawa, to nadal Francja pozostaje na szarym końcu peletonu zachodnioeuropejskich krajów: 172 zabitych na milion mieszkańców. W Niemczech — 133 oraz w Wielkiej Brytanii — 75.

Batalia o bezpieczne drogi to przede wszystkim:

- modernizacja sieci dróg i budowa autostrad;
- produkowanie bardziej bezpiecznych pojazdów;
- zmiany w szkoleniu kierowców oraz nowelizacja kodeksu drogowego;

- ograniczenie prędkości, szczególnie w miastach;
- walka z nietrzeźwością kierowców;
- obowiązek zapinania pasów przez prowadzącego pojazd oraz pasażerów;

- szybka pomoc ofiarom wypadków;
- surowe przestrzeganie przepisów ruchu drogowego przez wszystkich użytkowników dróg i egzekwowanie tego przez policję.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Obowiązek zapinania pasów bezpieczeństwa dotyczy również pasażerów z tylnych siedzi.

WŁOCHY

PEDOFIL W TELEWIZJI

Nazwano go największym pedofilem Italii. Gianni Boncompagni — to twórca i reżyser jednego z najpopularniejszych programów telewizyjnych, zatytułowanego „Non è la Rai”. Programu, w którym defilują słodkie nastolatki, prezentujące przeróżne warianty „zakamuflowanego neglizżu” (jak określiła to prasa katolicka). Programu, który wzbudza coraz więcej kontrowersji: szokuje i bawi, oburza i zachwyca. W całym przedstawieniu dominuje jedna, dająca się łatwo zauważyć tendencja: długie, zgrabne nogi dziewcząt odziane w dziecięce buciki pamiętające jeszcze czasy Shirley Temple, zaś seksowne kształty opinają króciutkie sukieneczki w pastelowych kolorach ozdobione falbankami i bufkami. „Wyrośnięte przedszkolaki” — takie porównanie nasuwa się niejednemu widzowi Rai.

Maskarada trwałaby nadal, gdyby nie szerzące się pogłoski o nietypowych zainteresowaniach seksualnych pana Boncompagni i jego rzekomym wykorzystywaniu nastolatk biorących udział w programie. Zaniepokojone mamusie dorastających gwiazdek wystąpiły do szefa włoskiej policji z prośbą o bliższe zainteresowanie się osobą reżysera i jego poczynaniami. Kartoteka Boncompagniego była co prawda

czysta, lecz od tamtej pory policja zaczęła dyskretnie odwiedzać studia telewizyjne i rozmawiać z osobami zatrudnionymi przy realizacji widowiska „Non è la Rai”.

Najwięcej do powiedzenia o sobie nawzajem miały same uczestniczki programu. Owszem, kiedyś ta czy tamta w przyływie szczerości zwierzyła się koleżankom ze swych rzekomych „przygód” z szefem. Ile w tym prawdy a ile naiwnej fantazji trudno osądzić. Nie od dziś wiadomo, jak mają się relacje typu reżyser — debiutantka w świecie kina, telewizji czy mody.

Tutaj także 60-letni Boncompagni jest bogiem marzących o wielkiej karierze nastolatk. Od niego zależy ich być albo nie być w tym wielkim, cudownym świecie, o wstęp do którego tak zajadle walczą, jest urzeczywistnieniem ich najszybszych marzeń, a bez niego nic nie znaczą. Tymczasem 60-letni reżyser szokuje swą ekstrawagancją (nietuzinkowym odzieniem, w którym nawet najbardziej odważny nastolatek wahałby się pokazać), nonszalanckim sposobem bycia, nieskrępowanym stylem. Nie ukrywa też faktu, że w życiu prywatnym wiąże się wyłącznie z bardzo młodymi kobietami, co najmniej pół wieku młodszymi od siebie. Zaprzecz natomiast jakoby uwo-



Gianni Boncompagni z podopieczną

dził nieletnie, a zwłaszcza uczestniczki jego autorskiego programu. Potwierdzają to zeznania współpracowników, przedstawiających go jako człowieka z zasadami, surowego i wymagającego nie tylko od swojej ekipy, lecz przede wszystkim od siebie samego. Jedną z „perełek” „Non è la Rai”, dwudziestoletnia dziś Brigitta Boccoli oświadczyła rozmawiającemu z nią policjantowi:

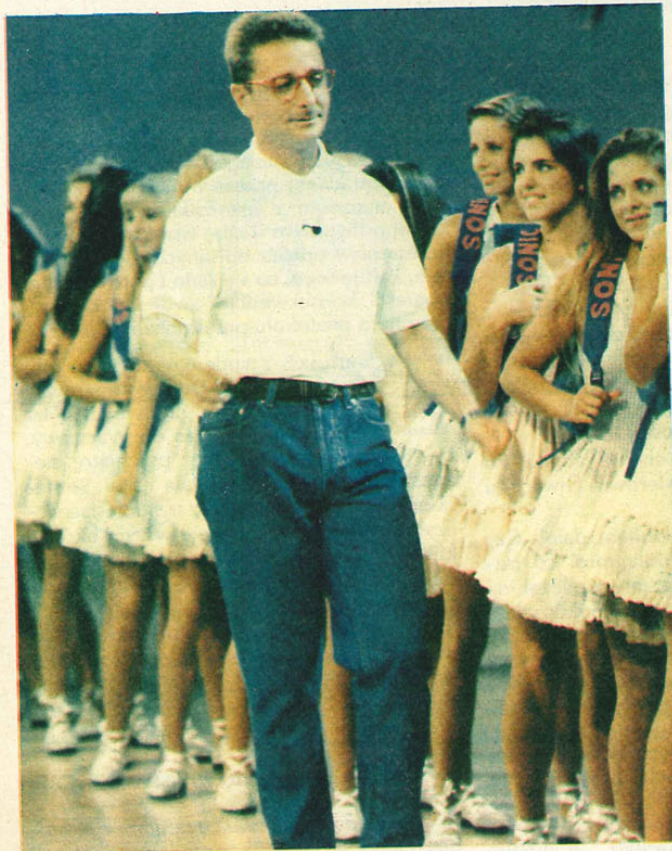
— Nigdy nie zauważyłam, aby pan Gianni spoufalął się z którąkolwiek z dziewcząt. Był szalenie zasadniczy i zawsze zachowywał w stosunku do nas

duży dystans. To przecież one same robiły do niego słodkie oczy, wdzięczyły się nieprzychylnie przy każdej okazji, wręcz go próbowały uwieść.

Z braku jakichkolwiek dowodów śledztwo umorzono.

Afera nie zdążyła jeszcze ucichnąć, kiedy Gianni Boncompagni demonstracyjnie odział swe podopieczne w różowitkie krzynoliny, spod których wystawały falbanki białych, dziesięcioletnich majteczek. Ot tak, na przekór wszystkim...

MONIKA SOKALSKA



Prowadzący program w jego trakcie

USA

RAPORT O KORUPCJI W NOWOJORSKIEJ POLICJI

Nowojorska policja przyrywała oczy na korupcję panoszącą się w jej szeregach i na to, że niektórzy jej oficerowie tworzyli siatki handlu narkotykami i bronią w murzyńskich i hiszpańskich dzielnicach — stwierdza komisja w swoim raporcie opublikowanym 7 lipca br. Przedstawiony prasie przez sędziego sądowego Milтона Mollena, który stał na czele komisji, noszącej jego nazwisko, raport ten składający się z 300 stron obarcza odpowiedzialnością służbę inspekcji wewnętrznej (policja w policji), która usiłowała minimalizować lub zatuszować te wszystkie afery, co może wyjaśnić dlaczego podejrzeni policjanci mogli przez wiele lat bezkarnie działać.

Komisja utworzona została 25 czerwca 1992 roku, w miesiąc po aresztowaniu sześciu nowojorskich, skorumpowanych policjantów. Zarządziła przesłuchanie aresztowanych policjantów, a zwłaszcza ich szefa 33-letniego

Michaela Dowda, narkomana, który przyznał się, że ściągał harace od handlarzy narkotykami, przywłaszczając sobie konfiskowane środki odurzające oraz zarekwirowaną broń palną, które następnie odsprzedawał innym przestępcom. Brał także udział w napadach rabunkowych z bronią w ręku.

Ta przestępcza działalność przynosiła mu około 8000 dolarów tygodniowo. Komisja, która rozpatrzyła dziesiątki podobnych przykładów skorumpowanych policjantów, ustaliła, że praktyki Michaela Dowda, w szesnastu przypadkach były znane funkcjonariuszom służby inspekcji wewnętrznej, ale przyrywała na nie oczy. Przewodniczący komisji Mollen oświadczył, iż trudne jest ustalenie liczby skorumpowanych funkcjonariuszy nowojorskiej policji, niemniej jednak „olbrzymia większość policjantów Nowego Jorku jest uczciwa”.

oprac. MARIAN OWCZAREK

— Panie, nie zabijaj, ja wszystko oddam — poprosił.
— Nie bój się, nikomu nic się nie stanie — odpowiedział napastnik.

Kazał mu zdjąć koszulę i spodnie. Po-
tem oddać kluczyki od mercedesa.

— Panie, co ja tu zrobię bez samocho-
du — zaprotestował taksówkarz.

Nie zważając na to, chłopak polecił mu
podejść do najbliższego drzewa. Zarzucił
sobie kałasznikowa na ramię i wyjął z kie-
szeni sznurek. Chciał skrępować ręce swo-
jej ofierze. Kiedy był już o krok od tak-
sówkarza ten nie wytrzymał. Chwycił
prawą ręką za lufę karabinka. Chłopak
rzucił się w tył, wyszarpnął broń. Mężczy-
zna zrobił kilka kroków. Jakby chciał ucie-
kać... Pierwszy strzał trafił go w plecy. Póź-
niej padły jeszcze drugi i trzeci, ale te usły-
szał już tylko chłopak z kałasznikowem.

Czesław K. długo oczekiwał na po-
stoju przy sopockim dworcu. Chłopak, który wsiadł do taksówki
w pełni jednak rekompensował
okres nudy. Zamówił daleki kurs, aż za mia-
sto. Kierowca powiadomił przez CB radio
napotkanego po drodze koleżę:

— Mam zlecenie do Skarszew.

Potem nikt go już nie widział ani nie sły-
szał. Zaalarmowana przez rodzinę policja
przystąpiła do przeszukiwania terenów
wzdłuż trasy Sopot-Skarszewy. Swoje poszu-
kiwania prowadzili też taksówkarze z korp-
racji Taxi Plus, w której pracował zaginiony.
To oni właśnie w lesie koło wsi Bożepole nat-
knęli się na ciemnozielonego mercedesa
300 należącego do Czesława K. Dzień póź-
niej, 28 czerwca, koło wsi Borówna (gmina
Skarszewy) odnaleziono zwłoki kierowcy.
Nie ulegało wątpliwości, że został zamordo-
wany. Trzema strzałami.

Mimo iż taksówkarze nieco pozacierali
ślady na mercedesie, policja szybko ustaliła,
w jakim kierunku powinno potoczyć się
śledztwo. Na miejscu zbrodni znaleziono
bowiem łuskę od naboju do karabinka AK-
-MS, kal. 7,62 mm, a sekcja zwłok potwierdzi-
ła, że do Czesława K. strzelano z tego typu
broni. To nasuwało podejrzenie, że morder-
cą jest Dariusz S., który trzy dni przed śmie-
cią taksówkarza samowolnie opuścił jed-
nostkę wojskową 2035 w Gdyni-Demptowie.
Dezertę zabrał ze sobą broń — właśnie kbk
AK-MS, kal. 7,62 mm.

I nnego zdania była jednak Prokuratura
Marynarki Wojennej i żandarmeria.

— Gotów jestem ręczyć własną głó-
wą, że to nie Dariusz S. dokonał zabój-
stwa — zapewnił nawet komendant Gdyń-
skiego Oddziału ŻW, komandor porucznik
Franciszek Rosłańec.

300 żandarmów szukało więc dezertera w
pobliżu Gdyni, mimo usilnych prób z Ko-
mendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku, by
skierować ich w rejon Skarszew. Prokuratura
Marynarki Wojennej nie zgodziła się ponad-
to na opublikowanie w prasie zdjęcia Dariu-
sza S., uznając że może on być oskarżony
tylko z art. 325 par. 1 kodeksu karnego o
„naruszenie toku służby wojskowej”, a w ta-
kich wypadkach nie rosyła się listów goń-
czych. Dość długo też zwleką się z przekaza-
niem policji zdjęcia dezertera — do KWP w
Gdańsku dotarło ono dopiero po dwóch
dniach.

Tymczasem prowadzący śledztwo już
wkrótce mieli nie tylko podejrzenia. Łuska
znaleziona na miejscu zabójstwa pochodziła
z serii produkcyjnej, która trafiła m.in. do
JW 2035 w Gdyni-Demptowie. Także dwie z
osób, które widziały domniemanego mor-
dercę, a którym okazano zdjęcie Dariusza S.
rozpoznały marynarza. Nie było zatem już
na co czekać — do policjantów w całym kra-
ju powędrowały fotokomunikaty ze zdję-
ciem i rysopisem Dariusza S. Jednocześnie
cały czas próbowano odnaleźć broń, z której
padły strzały. W poszukiwaniach mogło jed-
nak wziąć udział zaledwie 30 funkcjonariu-
szy, a na pomoc wojska nadal nie było co li-
czyć. Dziesięciokrotnie więcej żandarmów
wciągał się gdzieś w próżni, a zastęp-
ca komendanta głównego Żandarmerii Woj-
skowej, pułkownik Andrzej Smok podtrzy-
mywał opinię komandora Rosłańca, zastrze-
gając jedynie, iż żadnej hipotezy nie można
definitywnie wykluczyć.

Dzień po jego słowach, 1 lipca, dzięki in-
formacjom od miejscowej ludności dezertę
został zatrzymany przez policję koło wsi
Adamówka w województwie tarnobrzskim.
Od razu przyznał się do zamordowania
taksówkarza.

DEZERTER

Podczas przesłuchania wyjaśnił: „By-
łem głodny i myślałem jak zdobyć
pieniądze, aby zaspokoić głód. Sły-
szalem o przestępstwach popełnio-
nych na taksówkarzach i pomyślałem sobie,
żeby w ten sposób zdobyć pieniądze”. Do
napadu przygotował się w pobliżu samego
postoju taksówek, na ławce koło stacji PKP
Sopot-Kamienny Potok. Tu podczepił maga-
zynek i przeładował karabinek. Tu także — z
samochodowej mapy Polski znalezionej w
domu na działce, gdzie spędził dwie noce
po ucieczce z jednostki — odczytał nazwę
miejscowości, którą miał podać taksówka-
rzowi. Potem ruszył na postój...

Właściwie chyba nie chciał zabijać. Po
prostu stracił głowę, gdy kierowca chwycił za
lufę karabinka. Strzelił.

„Nie pamiętam, co zrobiłem dalej. Czy
strzelałem z tej samej odległości co po-
przednio. Mężczyzna na pewno leżał na
ziemi. Nie wiem, ile razy strzeliłem. Wydaje
mi się, że dwa lub trzy razy. Zamykałem oczy
jak strzelałem i nie wiem, czy strzały były
celne. Mężczyzna nie wydawał żadnych
odgłosów po tych strzałach (...) Byłem zde-
nerwowany tym, co zrobiłem. Czuję się
osłabiony i trzęsły mi się ręce. W momencie,
kiedy wsiadałem do samochodu czułem, że
złe zrobiłem i że nie powinienem zabić tego
mężczyzny. Nie wiem, dlaczego nie wróci-
łem się, aby udzielić mu pomocy.” (fragment
protokołu przesłuchania).

„Zatrzymanie jest dla mnie wybawieniem,
gdyż mogłem popełnić jakieś inne głupstwa.
Jeszcze raz wyjaśniam, że mężczyznę, o któ-
rym mowa w zarzucie ja zastrzeliłem osobi-
ście z posiadanej przeze mnie broni kbk, z
którą uciekłem z jednostki wojskowej, w
której odbywałem służbę wojskową. Innych
przestępstw oprócz opisanych nie popełni-
łem. Żałuję tego, co się stało i gotów jestem
ponieść konsekwencje swojego czynu.”
(fragment protokołu przesłuchania).

Dariusz S. z trudem ukończył szkołę
podstawową. Dużo wagarował,
uciekając z domu. Kiedy miał 16 lat
rodzice zabrali go do Warszawy,
by został przebadany przez psychiatrę. Le-
karz skierował go do szpitala na ul. Sobie-
skiego, gdzie chłopak przez trzy miesiące le-
czył nerwicę lękową. Po pierwszym okresie
kuracji otrzymał jeszcze jedno skierowanie
od psychiatry. Nie zgłosił się już jednak do
szpitala ani do lekarza.

Bardzo chciał zostać wcielony do wojska,
więc zataił wszystkie te fakty przed wojsko-
wą komisją lekarską. Byli w niej: internista,
chirurg, okulista. Nie było psychologa ani
psychiatry. Nigdy zresztą nie ma...

PRZEMYSŁAW KACAK

**PS Komandor porucznik Franciszek Rosła-
niec cieszy się dobrym zdrowiem. Nie stracił
głowy.**

Udała, że nie żyje...

Przeżycia 14-letniej Marzeny mogłyby stać się kanwą scenariusza do, nie pozbawionego brutalnych scen, filmu sensacyjnego. Ewentualnie horroru...

Początek wakacji dziewczynka miała spędzić nad Jez. Czarne na zgrupowaniu Pomorskiej Chorągwi Harcerskiej. Trzeciego dnia obozu druhenki ćwiczyły marsz na orientację. Zadaniem Marzeny było przejście wyznaczonego w lesie odcinka. Miała je wykonać razem z koleżankami, ale te dość szybko osłabły i przystanęły, by wypocząć. Nie zważając na nie, harcerka samotnie ruszyła dalej.

Mijając małe jezioro, nazywane przez miejscową ludność Krantzhoff, spostrzegła nad jego brzegiem mężczyznę łowiącego ryby. Zapytała go o dalszą drogę, a ten zaoferował jej swoją pomoc jako przewodnik. Nie uszła jednak nawet kilku kroków, gdy niespodziewanie „przewodnik” zaatakował Marzenę. Z całych sił uderzył ją pięścią, tak iż momentalnie upadła na ziemię. Napastnik rzucił się na dziewczynkę i, nie szczędząc dalszych rąw, zdarł z niej majtki, a potem zgwałcił ją.

Chcąc pozbyć się jedynego świadka, wyciągnął z kieszeni szczyrork. Próbował poderżnąć gardło swojej ofierze, jednak czy to z braku umiejętności, czy też z powodu tego ostrza nie udało mu się zabić dziewczyny. Nie rezygnował. Zaciągnął ją nad brzeg jeziora i zaczął topić. Marzena wyzwała się jednak nadzwyczajną przytomnością umysłu. Po krótkotrwałych, bezskutecznych próbach oporu wstrzymała oddech i udała martwą. Podstęp udał się w pełni. Niedoszły morderca jeszcze tylko pchnął ją w stronę

środką jeziora i zniknął. Dziewczynka, choć bardzo osłabiona, zdołała dotrzeć do brzegu. Przebrała się i spieszenie ruszyła ku najbliższej wiosce. Po drodze napotkała furmankę, która podwoziła ją do wsi Dąbrówka. Tu odebrała ją karetka pogotowia, którą przewieziona została do szpitala w Wejherowie.

Lekarz, poza defloracją, stwierdził też wstrząs mózgu, ciętą ranę szyi oraz ogólne potłuczenie i zszokowanie. Stan dziewczynki nie był jednak na tyle poważny, by nie mogła porozmawiać z policjantami. Dość dokładnie opisała napastnika, choć — jak miało się później okazać — źle oszacowała jego wiek.

Zaczęły się więc poszukiwania 30-, 35-letniego rudzielca o wyglądzie i zapachu włóczęgi. Brano pod uwagę wiele możliwości: właśnie przypadkowych włóczęgów, a także ludzi, którzy już dopuszczali się gwałtów oraz różnych pospolitych rzezimieszków. Sprawdzono nawet, czy ktoś nie uciekł ze znajdującego się w pobliżu miejsca zdarzenia ośrodka dla osób ubezwłasnowolnionych w Strzemielińsku i poproszono o pomoc Biuro Operacyjno-Rozpoznawcze KGP.

Było kilka typowań, ale tym właściwym popisał się komendant komisariatu w Gnieźnie. Na podstawie własnego rozpoznania wskazał on rzeczywistego sprawcę. Co prawda nie pasował on nieco do podanego przez Marzenę rysopisu, gdyż miał ledwie 18 lat, ale... W domu niedoszłego mordercy znaleziono zabraną ofierze bieliznę oraz szczyrork, którym usiłował poderżnąć dziewczynie gardło. Teraz czeka na rozprawę.

Przem.

NA ŻYWO

CODZIENNOŚĆ I ODŚWIĘTNOŚĆ

Lato. Najprawdziwsze z prawdziwych, jakiego nie mieliśmy od lat. Ale wakacje, jak zwykle, jak co roku, dla jednych oznaczają wypoczynek, dla innych — pełne ręce roboty mają zwłaszcza pracownicy pogotowia ratunkowego, ratownicy górscy i ci z ośrodków sportów wodnych nad jeziorami, na basenach i w kąpieliskach nadmorskich, straż: przybrzeżna, graniczna, ogniowa, służba leśna, celnicy, policja wreszcie. Ta, z natury rzeczy, musi być wszędzie; dwój się, troj, czasem już — zważywszy znane powszechnie niedobory kadrowe, kłopoty z transportem, łącznością, wyposażeniem w podstawowy sprzęt techniczny — po prostu „nie wyrabia”. A musi przecież. Tu się nie da powiedzieć: robota nie zając, nie uciekanie. Nazbyt często, niestety, ucieka: szybkimi, zachodnimi wozami; z nowocześniejszą, półautomatyczną bronią gotową do strzału. Ale latem akurat, nie gangsterka największego kalibru stanowi najgorsze utrapienie, zmory sezonu. Te mają różne oblicza.

Upał, samo południe, słońce praży nieumiłosiennie, na ulicy leży człowiek. Pijany czy chory? Wystarczy go odwieźć do izby wytrzeźwień czy wezwać natychmiast karetkę pogotowia? W ułamku chwili, mogącej zadecydować o życiu człowieka, trzeba umieć odróżnić upojenie alkoholowe (dawka też może być śmiertelna) od zaślabnięcia, omdlenia, udaru serca, zawału, epilepsji.

A na zsochach i znaczniejszych drogach przelotowych? Nieprawdopodobny ruch pojazdów przez 24 godziny. Tiry, ciężarówki zakładów przemysłowych, pekaes, autokary wycieczkowe, auta osobowe, motocykle, rowery. Bezsensowna, kawalerska jazda, brawura na pokaz, alkohol, niemrawość tzw. niedzielnich kierowców, kiepski stan techniczny wozów; niestety o kolizje mniej lub bardziej niebezpieczne, groźne wypadki nierzadko śmiertelne.

A dzieci? Niewielki ich procent wypoczywa na koloniach szkolnych i obozach harcerskich (koszty!). Reklamowane wczasy w mieście, to raczej rozkoszna fikcja. Dzieci więc bawią się same. Bez nadzoru dorosłych przejawiają. Na ulicach, przy głównych arteriach. Zajęte sobą, nieprzewidywalne w reakcjach. Tragedia może zdarzyć się w każdej chwili. Podobnie jak w mniejszych ośrodkach — dramaty spowodowane w czasie zabaw niewypały. A pożary, których mimowolnymi sprawcami bywają także i dzieci? Ale nie tylko one. Bezmyślność dorosłych też bywa przyczyną zaprószenia ognia, i to ileż razy!

Ogień niszczy drogocenny drzewostan, pozbawia ludzi dachu nad głową i dobytku. Ostatnimi laty, dochodzą niepowetowane straty powodowane przez pożary w zabytkowych kościołach i obiektach kulturalnych (teatry Rozmaitości i Narodowy w Warszawie, Polski we Wrocławiu, klasy zerowej przyklasztorne „theatrum” na lubelskiej Starówce, secesyjna pijalnia wód źródłanych z salą koncertową w Szczawinie-Zdroju). I znów: bezmyślność, nieuwaga, zabezpieczenie przeciwpożarowe wołające o pomoc do nieba, ale też i podpalenia celowe. A ustalić sprawców-piromanów nie tak łatwo, potrafią doskonale działać na zmyłkę.

Lato to także najazd turystów krajowych i zagranicznych na znane miejscowości wypoczynkowe, a jednocześnie — wlokące się za nimi „ogony”: złodziejszki, prostytutki, handlarze lewizną, amatorzy cudzych samochodów, margines wszelkiej maści. A na postawione przeważnie bez opieki mieszkania, których właściciele bawią na wakacjach — czyhają włamywacze. I wszędzie — na ulicach, w parkach, lokalach gastronomicznych, środkach lokomocji, na dworcach, aż roi się od kieszonkowców. Już nie mówiąc o rozbójach na drogach, napadach na pola namiotowe i campingi, o całym wreszcie „wachlarzu” wykroczeń i przestępstw z praktyki codziennej, co ich latem nie ubywa a wręcz — przybywa raczej (okradanie pijanych, gwałty, porachunki z właścicielami barków, pijalni-piwa, kantorów).

I chyba dobrze się stało, że przypadająca w tym, nad wyraz gorącym — w przenośni i dosłownie — okresie, istotną i ważną dla Policji, 75 rocznicę powołania do życia Policji Państwowej, co miało miejsce dokładnie 24 lipca 1919 r., zdecydowano się uruchomić w innym, spokojniejszym okresie. Nie pozbawiona też logiki wydaje się być aproba zwierzchnictwa KGP dla propozycji połączenia w jedną całość pod hasłem „POLICJA '94” — 75-lecia Policji Państwowej, 75-lecia Sportu Policijnego oraz 40 rocznicy Szkoły Policji w Pile, i tamże zlokalizowania tej zakrojonej na szeroką skalę imprezy, odpowiednio rozłożonej w czasie od 22 sierpnia do 25 września 1994. Program przedstawia się niezwykle interesująco, i jeśli tylko organizatorom uda się zrealizować wszystkie jego punkty, będzie to pierwsza, pomyślana niejako „globalnie” prezentacja pozasłużbowych zainteresowań i dokonań policjantów i jednostek Policji (autodydaktyka, kultura, sport, hobbytyka), ukierunkowana na integrację środowiska policyjnego i zbliżenia do społeczeństwa. Oczywiście, poczesne miejsce w programie zajmują Główne Uroczystości Jubileuszowe z wpisaniem w nie Apellem Poległych. Notabene, autor felietonów „Na żywo”, pisząc kiedyś o korzeniach, tradycjach i niezbędnym młodemu zwłaszcza funkcjonariuszom Policji, poczuciu tożsamości — zwrócił uwagę na niedoinformowanie tyżące się ofiar, jakie ponieśli funkcjonariusze Policji Państwowej, służący na rubieżach wschodnich II RP, pomordowani w Katyniu, Ostaszkowie, katowniach NKWD we Lwowie i in. miastach pod okupacją sowiecką.

LECH TERPIŃOWSKI

ROZWIĄZANIE ZAGADKI KRYMINALNEJ

Węzeł żeglarski

Po relacji sąsiada Bolesława Myślińskiego, w której przyznał się do zabójstwa Jerzego Taczynskiego, prowadzący śledztwo mieli jednak pewne wątpliwości. Pamiętamy, że Myśliński jest szczupłym, niewysokim mężczyzną. Taczynski miał 188 cm wzrostu, ważył 90 kilogramów i uprawiał kulturystykę. Czy możliwe jest więc, aby pozwolił sobie niższemu i słabszemu mężczyźnie wyrwać drążek, ogłuszyć się nim, zaciągnąć do windy?

Zaproponowano Bolesławowi Myślińskiemu wizję lokalną, podczas której miałby pokazać jak przetransportował ciało 90-kilogramowego mężczyzny. Odmówił. Powiedział, że nie chce przeżywać tego raz jeszcze.

Ponadto, jak zapewne pamiętamy, podczas przeszukania w domu państwa Taczynskich znaleziono okulary należące do nieżyjącego Jerzego Taczynskiego. Jego żona stwierdziła wówczas, że miała dwie pary. Drugie jednak przypadkowo odnaleziono w mieszkaniu recepcjonistki, z którą utrzymywał bliskie kontakty.

Jest niemożliwe, żeby Jerzy znalazł się na korytarzu domu i zaatakował me-

talowym drążkiem sąsiada bez okularów. Prawie nic by nie widział!

Skoło jednak sznurek, którym związano i uduszono Jerzego oraz drut, którym przymocowano cegły przed wrzuceniem do wody ciała znaleziono w mieszkaniu Myślińskiego, tym samym wyeliminowano wszystkich pozostałych podejrzanych: Iwonę, brata Jerzego, Siemińskiego, właściciela zakładu samochodowego, Jana Płozę, który odgrażał się, że go załatwi i innych.

Policjanci stwierdzili więc, że jedyną prawdopodobną wersją jest ta, że Myśliński miał współnika (niczkę). Tragedia musiała rozegrać się w domu pana Jerzego. Wrócił z pracy zmęczony, rozebrał się, włożył spodnie moro, w których chodził po domu i położył na łóżku. Miał przy sobie pobrane z banku pieniądze. Prawdopodobnie chciał wyjechać z Iwoną do Niemiec.

Kiedy zasnął, Grażyna wpuściła do domu Myślińskiego i razem zacięśli mu pętlę na szyi. W tej pozycji było dużo łatwiej zrobić to z tak ogromną siłą niż np. w windzie. Ciało wspólnie przetransportowali do piwnicy, a potem do samochodu i rzekli.

Jak pamiętamy, sekcja zwłok nie wykazała żadnych ran tłuczonych głowy ani jakichkolwiek innych. Wersja z uderzeniem drążkiem podczas bójki na korytarzu nie mogła być więc prawdziwa.

Pozostaje tylko pytanie czy 7-letnia córeczka państwa Taczynskich była świadkiem tej tragedii? Niestety, na ten temat milczy do dziś.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

JACHTY — ŁAKOMY KĄSEK

Na dzikiej plaży koło Dębek ludzie pojawiają się rzadko nawet za dnia. Wolą bardziej znane okolice Karwi czy Jastrzębiej Góry. Teraz, nocą plaża jest zupełnie pusta. Przynajmniej pozornie. Gdy tylko z morza zaczynają bowiem dobiegać odgłosy silnika, na piaszczystą łachę wbiega kilku mężczyzn. Dwóch rusza w kierunku zbliżającej się jednostki na małym pontonie z doczepionym motorkiem. Pozostali rozciągają jakieś linki. Wkrótce ich oczom ukazuje się podchodzący coraz bliżej brzegu jacht. Załoga wprowadza go między kołyszące się na falach odblaskowe bojki. Teraz łódź znajduje się dokładnie nad osadzonym na dnie specjalnym wózkiem, przypominającym samochodową platformę. Kilku płetwonurków skacze do wody. Ostrożnie, by nie uszkodzić zrobionego z laminatów kadłuba, mocują jacht na wózku. Zaczynają terkotać wyciągarki i ładunek sunie powoli na brzeg. Stara, znana wszystkim ludziom morza metoda — tzw. slipowanie — teraz przyjęta i przez złodziei. Złodziei jachtów. Kiedy tylko bowiem łódź dotrze na plażę, zostanie przeładowana do kontenera, w którym powędruje gdzieś w głąb kraju, a może i dalej. Wszędzie tam, gdzie trafi się kupiec na taki trefny towar.



Powyższy opis to tylko owoc dziennikarskiej fantazji, zapewne jednak niewiele odbiegający od autentycznych scen, które od czasu do czasu rozgrywają się w pobliżu Dębek. Na tutejszych dzikich plażach dokonuje się bowiem podobno przeładunku jachtów kradzionych przez Polaków w Skandynawii, głównie w Szwecji.

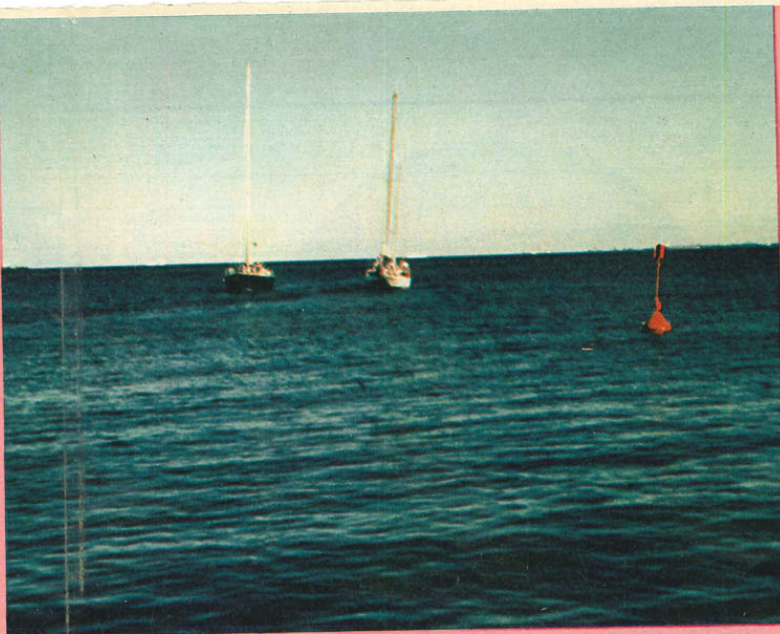
Sprawa jest stosunkowo nowa, a rozpoczęła w lutym tego roku śledztwo jeszcze trwa. Prowadzi je Prokuratura Wojewódzka w Gdańsku, która otrzymała informacje o kradzieżach od szwedzkiego towarzystwa ubezpieczeniowego „Atlantis”. Firma ta, wyspecjalizowana w ubezpieczaniu sprzętu pływającego, zaczęła ponosić coraz większe straty finansowe z tytułu wypłacania odszkodowań za ginące raz po raz jachty. Przeprowadzwszy dochodzenie, jej pracownicy ustalili, że sprawcami kradzieży są przede wszystkim mieszkańcy Trójmiasta, a zagarniane przez nich jednostki trafiają m.in. do Wielkiej Brytanii, Niemiec, Włoch, Polski i dalej — prawdopodobnie na Bliski Wschód. Dopływają bezpośrednio do krajów docelowych albo też

do brzegów Polski, skąd transportem samochodowym przeznaczone są na południe.

W marcu pracownicy „Atlantisu”, wraz z przedstawicielami innych firm ubezpieczeniowych i szwedzkiej policji, przyjechali do naszego kraju. Komenda Wojewódzka Policji w Gdańsku przeprowadziła wówczas kontrolę marin i nabrzeży Trójmiasta. W czasie akcji zabezpieczono do dyspozycji prokuratora kilka mniejszych łodzi motorowych oraz 9 większych jachtów żaglowych lub motorowych (2 w Gdyni i 7 w Gdańsku), co do których uzyskano pewność, że zostały skradzione. W Gdańsku zatrzymano też wtedy kilku robotników, którzy — akurat w momencie przybycia policji — ładowali na samochodową naczepę trefny jacht. Zarekwirowane łodzie to jednak tylko znikoma częśćka wszystkich zaginionych łodzi — według Szwedów jest ich bowiem niemal 900, z czego ponad połowa została skradziona przez Polaków.

Z przekazanych przez Skandynawów informacji wynika, że proceder ten uprawiany jest przez dotychczasowych specjalistów od kradzieży aut. Policja nie chce jednak nic mówić na temat toczącego się jeszcze dochodzenia. Naczelnik Wydziału do Walki z Przestępczością Zorganizowaną KWP w Gdańsku odmówił mi udzielenia informacji, tłumacząc się koniecznością uzyskania zgody od wicedyrektora Biura PZ w KGP, insp. Zbigniewa Dziemidowicza. Ten jednak — w telefonicznej rozmowie — nie zgodził się na ujawnienie wszystkich faktów, a gdy wytłumaczyłem, że chodzi przecież tylko o te informacje, które mogą zostać przekazane prasie, skierował mnie z powrotem do naczelnika Wydziału do Walki z Przestępczością Zorganizowaną KWP

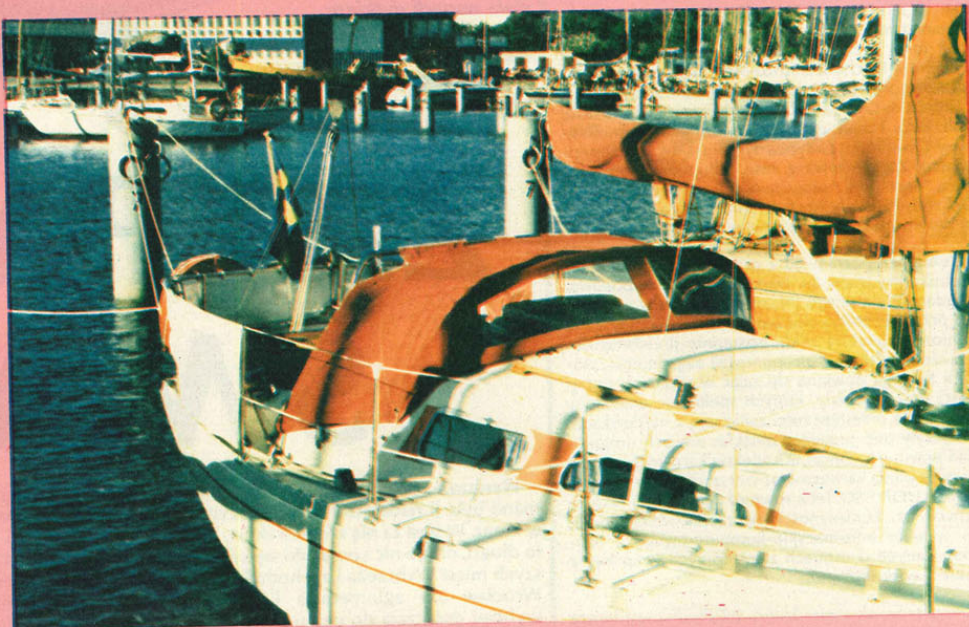




w Gdańsku. Tak więc, odsyłany od Annasza do Kajfasza, nie dowiedziałem się zbyt wiele.

Okazuje się jednak, że sprawa kradzieży jachtów jest swego rodzaju tajemnicą poliszynela i wie o niej sporo ludzi, niekoniecznie tych prowadzących dochodzenie.

— Tu raczej nie ma kradzionych w Skandynawii jachtów, przynajmniej nie powinno być — poprawia się marynarz, trzymający wartość w basenie jachtowym gdyńskiego portu. — Problem stanowią raczej włamania dokonywane pod nieobecność właścicieli. Klódki, na które zamyka się wejścia pod pokład, nie są wystarczającym zabezpieczeniem. A że do basenu jachtowego przylega teren Jacht Klubu Marynarki Wojennej RP, dowództwo zdecydowało się na wystawienie wachtowego, który odstraszalby włamywaczy. Kradzionych jachtów musiałby pan szukać raczej za Dębkami.



Są slipowane na dzikich plażach. Tam ładuje się je w tiry i wiezie dalej. Więcej mógłby się pan dowiedzieć w „Czarnym Kocie”, jeśli pana stać...

„Czarny Kot” to lokal w gdyńskim hotelu „Bałtyk”, jeden z najdroższych w mieście. Miejsce spotkań tzw. Witomina — przestępczego gangu, określanego tak od nazwy osiedla, w którym mieszkała lub mieszka część jego członków. Przewodzi mu Konstantinos T. vel „Kostek” — także posiadacz jachtu. Właściwie były, gdyż jego łódź zabezpieczono do dyspozycji prokuratora podczas marcowej akcji kontrolnej, okazała się kradzioną.

— „Kostek”, „Schwarzenegger” i im podobni działali do niedawna w samochodach, ale w tym biznesie nie ma już takiego El Dorado, jak przed

dwoma, trzema laty — mówi policjant z KRP w Gdyni. — Rynek się kurczy, są problemy z konkurencją, bo mieliśmy tu już kilka wojenek gangów. „Schwarzenegger” musiał nawet uciekać, notabene niedawno wpadł za granicą. Chłopcy postanowili więc zmienić branżę. Jachty to niewątpliwie doskonały interes, tym lepszy, że dla policji jest zjawiskiem nowym, jeszcze nie rozpracowanym. A przy współczesnym nafaszerowaniu elektroniką ceny nawet małych łodzi sięgają 50 tys. USD. Tyle samo kosztują małe łodzie motorowe, tzw. ścigacze. Większe jachty — i żaglowe, i motoro-

Szwecja ma najwięcej w Europie zarejestrowanych jachtów. Trudniej może o klienta, ale jeśli ma się odpowiednie kontakty i trochę cierpliwości, znajdzie się i on.

— Gdynia, miasto portowe, zawsze była miastem interesów i pieniędzy — mówi pracownik jednego z gdyńskich klubów jachtowych. — Ostatnimi czasy nawet sporych, nie zawsze legalnie zgromadzonych, fortunek. Odbiciem tego, co dzieje się z miastem jest basen jachtowy. Coraz więcej w nim obcych bander z polskimi właścicielami i załogami, coraz więcej też jachtów, jakie wcześniej mogliśmy oglądać tylko w „Po-

we — mogą być nawet do dziesięciu razy droższe, zależnie od sprzętu i wykończenia. Można zatem nieźle zarobić, a towaru nie brakuje. Skandy-nawowie uwielbiają pływać, a

licjantach z Miami”. Jachty stały się wyznacznikiem prestiżu, no a dla niektórych także niezłym biznesem.

tekst i zdj.
PRZEMYSŁAW KACAK



PRZECIW NARKOBIZNESOWI

29 czerwca w Komendzie Głównej Policji odbyło się pierwsze robocze posiedzenie Komisji ds. Ścigania wchodzącej w skład utworzonego w lutym bieżącego roku Międzyresortowego Zespołu do Spraw Koordynacji Kontroli Środków Odurzających i Psychotropowych. W ramach Zespołu działają jeszcze Komisje ds.: Legislacji oraz Informacji (utworzone w Ministerstwie Sprawiedliwości), Zapobiegania, Leczenia i Rehabilitacji (Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej) i Profilaktyki Uzależnień (Ministerstwo Edukacji Narodowej), przewodniczy mu zaś wicepremier i minister sprawiedliwości Włodzimierz Cimoszewicz.

Był on obecny na posiedzeniu w KGP, w którym udział wzięli też m.in.: wiceminister spraw wewnętrznych Jerzy Zimowski (przewodniczący Komisji ds. Ścigania), dyr. Biura Operacyjno-Rozpoznawczego KGP insp. Krzysztof Jabłoński (sekretarz Komisji), dyr. Biura Dochodzeniowo-Śledczego insp. Krzysztof Kocięcki, zastępca szefa UOP ppłk Jerzy Nózka, zastępca dyr. Zarządu Ochrony Granicy Państwowej ppłk Jerzy Tengli, dyr. Biura Informatyki insp. Zbigniew Chwaliński, zastępca dyr. Biura dw. z Przeprowadzania Zorganizowaną insp. Zbigniew Dziemidowicz oraz inni przedstawiciele Policji, Urzędu Ochrony Państwa, Straży Granicznej oraz Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie.

Zebrani zapoznali się z przygotowaną przez naczelnika Wydziału ds. Narkotyków BO-R podinsp. Bogdaną Zielińską informacją na temat zagrożenia przestępczością związaną z narkotykami w ciągu minionego półtora roku. Następnie przedstawiciele każdej ze służb zaproponowali zagadnienia, którymi Komisja powinna się zająć w pierwszej kolejności oraz postulaty, których spełnienie ułatwiłoby zwalczanie przestępczości związanej z narkotykami. Dotyczyły one przede wszystkim nowych uregulowań prawnych: zmian w kodeksie karnym, kodeksie postępowania karnego oraz szerszych uprawnień dla Policji, UOP i SG, lecz również możliwości technicznych, tzn. konieczności utworzenia odpowiedniego systemu informacyjno-komputerowego z bankiem danych o osobach zamieszanych w sprawy z zakresu narkobiznesu.

Poza tym, jak stwierdzono, niezbędna jest lepsza współpraca między różnymi służbami, o ile bowiem zdają sobie z tego sprawę kierownictwa Policji, UOP i SG, o tyle na niższych szczeblach często dochodzi do źle pojętej rywalizacji. Jej efektami są niekiedy błędy, których w przyszłości — dzięki koordynacji działań przez Komisję — będzie można zapewne uniknąć.

PRZEMYSŁAW KAKAC



Krakowskie Planty. Twarz klęczącego na chodniku chłopaka jest pozbawiona wyrazu. Powieki opadają sennie. Głowa niepewnie kołysze się na boki. Zawieszony na szyi kawałek tektury chybotnie się odsłaniając rozpiętą koszulę. Skóra 18-latką jest papierowo-szara, napięta na żebrach klatki piersiowej.

„Chcę żyć!” — tylko te dwa słowa widnieją wypisane czarnym tuszem. Przechodzący obok nawet ich nie czytają. Być może dzisiejszego dnia wsparli datkiem jakąś Rumunkę, zatem zasób współczucia mają już wyczerpany.



ZAĆPANY ŚWIAT

Warszawa, jako największy ośrodek narkomanii była (i nadal jest) na pierwszym miejscu w kraju. W ślad za nią szedł Kraków. Potem było długo, długo nic i pojawiło się kilka największych miast Wybrzeża i zachodniej Polski. Dziś Wrocław czy aglomeracja katowicka coraz szybciej dołączają do peletonu, który w połowie lat 80-tych był niedościgniony.

— Narkomania w Krakowie — mówi asp. Janusz Ćwik z Sekcji ds. Narkomanii i Patologii Społecznej WOR KWP — jeszcze dwadzieścia, dziesięć lat temu praktycznie zaważała się do środowisk artystycznych i wynikała z preferowanego przez nie hedonistycznego stylu życia. Ot, pewną europejskością było przyćpać. Jeśli tego nie robiłeś, środowisko uważało cię za ćwoka.

Z czasem szpan na artystę przeszedł do szkół wyższych, a stamtąd był już tylko krok, by trafić do klas licealnych i wreszcie do podstawówek.

W latach 70-tych Polska jako kraj czysty w swej socjalistycznej moralności nie mogła pozwolić sobie na przyznanie się, że są u nas narkomani. Przez lata, niemal do połowy lat 80-tych temat ten zbywano milczeniem, a np. Marka Kotańskiego traktowano jako niegroźnego fiksata, który ma czas i ochotę zajmować się młodzieżą z marginesu społecznego.

— Najgroźniejszy w tamtym czasie był i jest nadal brak pełnego zrozumienia czym naprawdę jest „polska heroina”.

Siedząca na wprost mnie asp. Anna Kuzio z sekcji ds. narkomanii zaczyna pisać na kartce.

— Proszę spojrzeć. W skład jednego grama heroiny sprzedawanej na Zachodzie wchodzi

nie więcej niż 0,005 g czystego narkotyku. Reszta porcji uzupełniana jest efedryną lub glukozą, a także cukrem. Spójrzmy natomiast na składniki znajdujące się w jednym „cencie” polskiej hercy. Są tam wszystkie alkaloidy: morfina, kodeina, tebaina, noskapina i grupa papawerin. Jeżeli do tego dodamy brud (strzykawka, proces przyrządzania specyfiku) wówczas łatwo zdać sobie sprawę, jaką dawką uderzeniową jest ten jeden polski „cent”. W porównaniu do niego „cent” zachodni to niemal „herbatka”.

Porządek na „Bajzlu”

W Krakowie, przy ul. Floriańskiej do niedawna funkcjonował tzw. Bajzel, gdzie w biały dzień, bez obaw można było nabyć narkotyk. Za jedną dawkę kasowano klienta na 33,50 tys. złotych. Cena skakała dwu i trzykrotnie w górę, gdy towar poszukiwany był nocą.

Jeszcze nie tak dawno liczącą się postacią „bajzlowego” handlu był niejaki „Harcerzyk”. Sam był narkomanem. Znajomi śmiali się, że codziennie musi sobie robić transfuzję i wypełniać się herą, gdyż jego dzienna dawka dobijała już granicy 35 (trzydziestu pięciu) „centów”.

Pewnego dnia „Harcerzyk” doszedł do wniosku, że nie dość, iż będzie mógł ćpać za darmo, to jeszcze na tym zrobi interes. Tak więc zebrał kapitał i rozpoczął produkcję, sprowadzając słomę makową z podkrakowskich miejscowości, nazywanych przez policjantów Złotym Trójkątem. Do pomocy najął

kilku narkomanów, którzy pracowali za określone działki „kompotu”. Co więcej „Harcerzyk” wpadł na pomysł rozdzielania porcji promocyjnych, by zdobyć stałych odbiorców.

„Poznałam tego drania gdzieś półtora roku temu — wspomina Aldona Z. — Kilka razy, na prywatkach, popalałam z koleżanką „mariachę”. W pewnym momencie chcieliśmy spróbować czegoś mocniejszego. Wtedy trafiliśmy do „Harcerzyka”. Narkotyk dał za frajer. — Poćpajcie sobie dupencje — zażartował. — Jak się wam spodoba to zajrzyjcie jeszcze do mnie.

Mój pech polegał na tym, że mi się spodobało. Początkowo dostawałam działki bez proszenia. Potem szło już coraz trudniej. Pewnego dnia ten drań oświadczył, że wyzerpałam u niego swój kredyt. Plakałam, prosiłam choć o jednego „centa”, ale on wyrzucił mnie za drzwi. Usiadłam więc na wycieraczce i skomlałam jak pies. W końcu mi otworzył. Oświadczył, że jak będą rozprawiać o towar i przyprowadzę świeżych klientów, to pozwoli kilka razy dać sobie za darmo w żyłę”.

★ ★ ★

— Wynikiem określonego podejścia do problemu narkomanii była (i jeszcze jest) ustawa o zapobieganiu... — asp. Janusz Cwik wzru-

Objawy zażywania określonych grup narkotyków

Morfina, Heroina, Kompot (polska „HERA”)
Zwężone źrenice oczu do wielkości główki od szpilki, zlewne poty, wydeki z nosa, stany depresyjne (tzw. zamulenie), trudności z kojarzeniem, bełkotliwa mowa, ślady na ciele od nakłuć igłą, zaburzenia trawienne, zaparcia, widoczne wyniszczenie organizmu, żółtaczka, HIV (od brudnych igieł).

MARIHUANA

Rozszerzone źrenice, niebornieść mowy, słowotok, wielka wrażliwość na bodźce zewnętrzne, nieuzasadnione gwałtownie zmieniające się stany emocjonalne (skrajna wesołość lub smutek), zachowywanie się jak człowiek pijany (załatczanie się).

AMFETAMINA

Rozszerzone źrenice oka, ogromne pobudzenie organizmu, zupełny brak apetytu, bezsenność, nieuzasadniona agresja, wysoka wrażliwość na bodźce zewnętrzne.

KLEJE

Odór kleju lub rozpuszczalnika z włosów, zachowanie nieadekwatne do sytuacji, niemożliwość nawiązania porozumienia, trudności z kojarzeniem i nauką.

sza bezradnie ramionami. — Zawarte w niej przepisy bardziej pasowały do fikcji niż rzeczywistości. Mimo to postanowiliśmy rozwiązać problem „Harcerzyka”... niszcząc go finan-

sowo. Kilka nalogów na mieszkanie, gdzie szła produkcja, zatrzymania na ulicach i w „Bajzlu”. W efekcie facet wypadł z rynku. Ostatnio dobił go w chwili zakwestionowania przy nim dwóch litrów BKO. Ta ilość specyfiku praktycznie starczyłaby na rozpoczęcie półprzemysłowej produkcji polskiej hery.

Początki

Sekcja powstała dwa lata temu. W chwili obecnej, prócz moich rozmówców, liczy jeszcze asp. Teodora Martę i kierownika, nadkom. Andrzeja Kapko. Wkrótce powiększy się o dwóch dalszych pracowników.

Słuchając wywodów funkcjonariuszy pomyślałem, że komendant wojewódzki jest jednym z nielicznych w kraju, który z właściwą powagą potraktował problem narkotykowego zagrożenia. I tak w roku ubiegłym funkcjonariusze zlikwidowali 16 melin. W tym roku (do maja) poradzono sobie z dalszymi siedmioma.

Przez dwa lata pracownicy sekcji pokazali, że zainwestowany w nich kapitał przynosi już niezłe procenty. „Bajzel” praktycznie przestał istnieć. Nieliczni, coraz szybciej wyłapywani producenci zeszli do głębokiego podziemia produkując jedynie na potrzeby własne i najbliższego kręgu znajomych.

Co więcej, policjanci coraz częściej zapraszani są do szkół podstawowych, w których pedagodzy nie bardzo potrafią sobie poradzić z problemami wychowanków.

A jest się czym martwić, gdyż 14—15-latk biorą niekiedy po 3, 4 „centy”!!! Młodzi tradycyjnie „kleją” (wchają klej).

— Najniebezpieczniejsze w tym wszystkim jest to — kończy asp. Anna Kuzio — że krakowski rynek narkotyków (przypuszczam, że podobna tendencja ma miejsce w całej Polsce) zaczyna coraz wyraźniej dzielić się na producentów i konsumentów. Do niedawna stanowili oni jedną grupę, stąd łatwiej było do nich dotrzeć. Dziś wytwórca stawia jedynie na zysk. A jest o co zaważać, gdyż chłonność krakowskiego rynku policjanci oceniają w przybliżeniu na 50 mln złotych dziennie.

Najgroźniejsze w tym wszystkim jest to, że jak wynika z danych operacyjnych, po wyczyszczeniu przez funkcjonariuszy rynku z chałupniczych dealerów, krakowskim rynkiem narkotykowym zaczynają interesować się sąsiedzi zza wschodniej granicy. Ci z pewnością zaprowadzą na nim wzorowy ład i porządek, a zagrożone interesy (liczone w setki milionów rocznie) nie będą już chronić pięścią, lecz karabinem. Wówczas nawet krakowska sekcja narkotyków WOR (uważana za jedną z najlepszych w kraju) nie poradzi sobie z tym problemem.

tekst: **PAWEŁ SZLACHETKO**
zdj. **Krzysztof Potocki i Paweł Pestka**



MŁODZIEŻ A PATOLOGIE

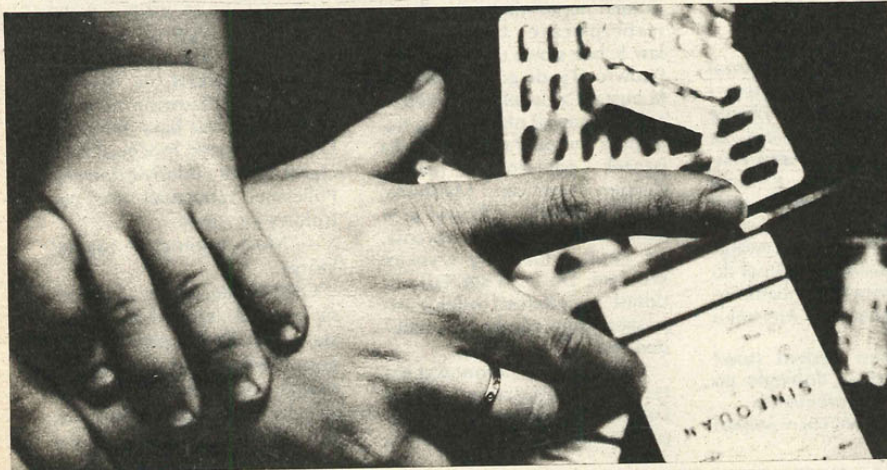
Nakładem wydawnictwa ADAM MARSZAŁEK ukazała się książka „Młodzież a współczesne dewiacje i patologie społeczne”. Jest to praca zbiorowa pod redakcją Stanisława Kawuli i Henryka Machela, naukowców z Uniwersytetu Gdańskiego. Znajdujące się w niej opracowania są rezultatem różnych badań wywołanych gwałtownym wzrostem liczby agresywnych zachowań nastolatków. Przeprowadzili je pracownicy naukowi Uniwersytetu Gdańskiego oraz różnych wyższych szkół pedagogicznych i ośrodków penitencjarnych — autorzy poszczególnych rozdziałów. Książka nie jest jednak typową publikacją naukową — przystępny sposób, w jaki została napisana i zredagowana czyni z niej lekturę dobrą i dla szerszego odbiorcy. Można ją zatem polecić wszystkim tym, którzy w pracy zawodowej lub społecznej stykają się z różnymi przejawami patologii wśród młodzieży, a także samym zainteresowanym — młodym ludziom i ich rodzicom. Nie jest ona oczywiście poradnikiem, dającym recepty, jak uniknąć zagrożeń. Szkicuje natomiast tło i charakterystykę zjawisk, z jakimi zetknąć się może każda rodzina, a te z całą pewnością warto poznać.

Mocną stroną tej pozycji jest jej aktualność, z reguły bowiem publikowane w książkowej formie wyniki badań ukazują się z dość dużym opóźnieniem, tymczasem tu ostatnie dane dotyczą roku 1993. Jedynie w rozdziale „Społeczne uwarunkowania prostytucji” znalazło się omówienie badań opartych jeszcze na statystykach Milicji Obywatelskiej — dziś już niezbyt aktualnych. Okres po 1989 roku omówiony jest bardzo pobieżnie, jedynie na podstawie lektury ogłoszeń towarzyszących w prasie. Rozdział ten stanowi jednak wyjątek — w pozostałych treściach jest o wiele bardziej pogłębiona, a publikowane dane są weryfikacją aktualnej rzeczywistości.

Ciekawostką jest rozdział „Zachowania społecznie patologiczne u młodych skazanych w Rosji i sposoby przeciwdziałania im” autorstwa pułkownika Wacława Grigoriewicza Tokariewa, pracownika Służby Penitencjarnej Okręgu Kaliningradzkiego. Daje on możliwość porównania nowych, pojawiających się w okresach transformacji ustrojowych, zjawisk patologicznych w społecznościach młodocianych przestępców w Rosji i Polsce.

P.K.
rep. K. Potocki

Red. Stanisław Kawula i Henryk Machela: **MŁODZIEŻ A WSPÓŁCZESNE DEWIACJE I PATOLOGIE SPOŁECZNE**. Wyd. Adam Marszałek, Gdańsk — Toruń 1994.



Roman M. umierał przez trzy dni, leżąc w boleściach na łóżku. Skatowany, pokrwawiony, opuchnięty. W pokoju obok trwała nieprzerwalna popijawa. Co trochę, któryś z zamoczonych balangowiczów, wpadał do Romana M. by wylać na nim swą „pijaną” wściekłość. Wreszcie Rysiek „Ubol” wpadł na genialny pomysł: — Przeczelimy gizda! Roman N. skonał z kiem od szczotki, wepchniętym mu przemocą do odbytnicy.

był 39-letni Roman M., niegdyś oficer wojska, który na Śląsk przywędrował z woj. elbląskiego. Tu spiknął się z Eugeniuszem T. Razem znaleźli robotę w kopalni, razem zamieszkali w kwatery wynajętej od Jadwigi R. Forse zgodnie przeznaczali na przelew. Z racji tychże upodobań kopalnia rychło podziękowała im za pracę. Innej nie znaleźli. Wkrótce zabrakło im pieniędzy, nie tylko na gorzałę, ale i na jedzenie. Na domiar złego, właścicielka mieszkania poczęła domagać się za płaty komornego. Niby niedużo tego, bo coś półtora miliona złotych, ale skąd je było wziąć?

ski pijaków nie pozwalały zasnąć. Widziała jak 16 kwietnia, Roman M. siedział skulony na schodach koło strychu. Wcześniej, w nocy, z bramy wytoczyło się 8 pijanych mężczyzn i jakaś kobieta, przezywana „Rudą”. Poznała między nimi Eugeniusza T., wrzeszczał bowiem — „Chodźcie, jeszcze mu do...limy! Milicja tego nie widzi!” Wezwanie do „do...lenia” odnosiło się do Romana M., którego gromada trzymała między sobą i wiodła do pobliskiego parku.

W parku policja odnalazła stos nadpalonych rzeczy będących własnością Romana M. Na śmietniku odszukano spalone resztki jego pościeli. Dzięki kartotekom i informatorom ustalono personalia „Pisanki”, czyli Macieja Ch. Od niego dowiedziano się o Ginterze S., potem niejaki „Łysym”, i dalej o kolejnych dziesięciu uczestnikach krwawej balangi. Także o Andrzeju S., asie gliwickich meneli, noszącym pseudo „Książę”.

Właśnie „Książę” otrzymał od Jadwigi R. małeńkie zleconko: — Wyrwać od Romana M. pieniądze! Metodą wiadomą, czyli przez spuszczenie winowajcy łomotu. Po kontrakcie miała nastąpić wypłata. W przezroczystym i płynnym towarze, oczywiście.

„Książę” nie dał się mocno prosić. Nie kazali się też długo przekonywać dwaj Ukraińcy, wynajęci do brudnej roboty: Siergiej Sz., który aktualnie siedzi w areszcie śledczym i Władimir Niemirycz, ścigany listem gończym. Niemirycz — zdrafczy — miał już raz niemiłą przygodę z wymiarem sprawiedliwości. Za ograbienie autobusu z Białorusinami, przesiedział półtora roku w opolskim więzieniu.

Komando przystąpiło do dzieła sprawnie i rzeczowo.

Weszło, spytało: — Katoryj Romek, a? — po czym wzięło się za wymierzanie sprawiedliwości. „Książę” także nie wytrzymał i własnoręcznie pomógł. Tkliki dłużnika gospodyni pięściami, kopali go po głowie i plecach, a kiedy padł, skakali po nim, wbijając obcasami w podłogę. Roman M. skamlał, dopóki miał siły, o liść, ale jego błagania tylko rozjuszały zgraję. Wkrótce walił nieszczęśnika prawie każdy, kto tylko znajdował się w mieszkaniu. Katowanie Romana M. trwało kilka godzin, z przerwami na kolejnego „pałulitra”.

Po północy postanowili wykludzić * skazańca z mieszkania. Wrzucili w walizkę jego nędzne ciuchy, zabrali do spalania pokrwawioną pościel i wywekli do parku, Roman M. ocknął się nad ranem w krzakach. W mękach, na czworakach doczołgał się z powrotem do sieni. Eugeniusz T. leżąc na mecie po kolejną halbę, spotkał go na schodach i łaskawie zezwolił na wejście do mieszkania.

Konający człowiek, z pękniętą, krwawiącą do brzucha wątrobą, padł na łóżko. Ale oprawcy świętujący powodzenie misji, nie dali mu umrzeć w spokoju. W krańcowym zezwierzęceniu nabili go na stylisko od szczotki. Odchodząc kazali „Gienkowi” siedzieć cicho, a w nocy zamierzali wywieźć ciało w worku na wysypisko śmieci. Ukradli nawet wózek jakiemuś złomiarzowi.

„Książę”, „Sierioża”, Rysiek oraz Jadwiga R. zostali aresztowani. Ta ostatnia odpowie „tylko” za podżeganie do pobicia, czyli przestępstwo wymienione w art. 158 § 3 w związku z art. 18 § 1 k.k. „Pisanka”, którego mianem „ochrzczono” rozpracowanie operacyjne, tym razem ustrzegł się od zarzutu.

* — wprowadzić

A.K.P

ZLECENIE

17 kwietnia dyżurny z gliwickiej komendy policji odebrał telefon. Dzwoniono z baru „Górnik” w Sośnicy, powiadając, że na prywatnej kwatery tuż obok, przy ulicy Skarbnika, leży nieżywy człowiek. Zgłaszającym był lokator tejże kwatery, „Gienek”. Na jego obliczu znać było ślady wielodniowych zmagania z gorzałą, a od alkoholowego chuchu muchy padały w locie.

Na nie powleczonego łóżku spoczywały zwłoki mężczyzny. Jego ciało było wręcz fioletowe od sińców, obejmujących głównie okolice głowy i górnych partii tułowia. Twarz pokrywały rozmary krwi. Późniejsze sądowe badania ciała dowiodły, że śmierć nastąpiła, w wyniku pęknięcia wątroby powodującego obfity krwotok wewnętrzny.

Według relacji „Gienka” zatratowanym nieszczęśnikiem

Kamraci prosili, błagali, by jeszcze poczekała, ale babsko pozostało nieugięte. Płacić, bo dostaniecie nauczkę! Tę nauczkę przypłacił Roman M. życiem.

Zanim jednak policja zorientowała się, że Jadwiga R. odegrała rolę głównej inicjatorki zbrodni, musiała ustalić okoliczności, przebieg i osoby uczestniczące w łańcuchu wydarzeń, które od 15 kwietnia rozgrywały się w kamienicy przy ulicy Skarbnika. Zadanie wydawało się prawie niewykonalne. „Gienek” nie pamiętał właściwie niczego. W jego mózgowicy zachowało się tylko nikłe wspomnienie mężczyzny od stóp do głów pokrytego tatuażami. Wołano na niego „Pisanka”.

Więcej szczegółów wniosła do sprawy mieszkająca po sąsiedzku staruszka, której wrza-

Z PISTOLETEM DO CPN

Dochodziła północ 25 maja, gdy z mroku nocy wynurzyła się postać mężczyzny i wkroczyła w krąg światła rzucałego przez otwartą całą dobę stację CPN w Domaszewicach (woj. siedleckie). Z pochyloną głową, drobnym, szybkim krokiem człowiek ów zbliżył się do okienka sprzedawcy. Tej nocy dyżur miał Jarosław S. Gdy uniósł wzrok znad książki, ujrzał patrzące groźnie, przez otwory w założonej na twarz masce, oczy oraz otwór wymierzonej w siebie lufy pistoletu.

— Dawaj forszę — usłyszał stłumiony nieco, lecz mocny i wyraźny rozkaz. Przez chwilę Jarosław S. miał nadzieję, że jest to głupi żart jakiegoś znajomego lub kolegi z innej zmiany. Szybko jednak zdał sobie sprawę z ponurego realizmu sytuacji. Nie odrywając wzroku od pistoletu sięgnął do kasetki, wydobył garść banknotów i popchnął je w kierunku bandyty.

— Co, tylko siedem stów? Dawaj resztę! — dobiegło go warknięcie zza kominiarki.

— Nie mam więcej — odparł sprzedawca.

— Słuchaj facet, nie próbuj robić mnie w konia... — w oczach napastnika pojawiły się niebezpieczne błyski. Jarosław S. bez słowa uniósł kasetkę i odwrócił ją do góry dnem. Była pusta. Człowiek z pistoletem zaklął. Zgarnął pieniądze, a następnie wydobył z szyby kilka paczek papierosów marek: Golden American, Marlboro, Camele i Marsy. Schował je w zakamarki czarnego ubrania, po czym oddalił się szybkim krokiem. Do uszu sprzedawcy dotarł z ciemności odgłos zapuszczanego silnika samochodu.

Jarosław S. zatelefonował natychmiast do dyżurnego KRP w Łukowie powiadamiając o napadzie. Aspirant Wiesław M.

wysłał w teren dwa patroli zmotoryzowane, powiadomił także dyżurnych KWP w Białej Podlaskiej i KRP w Radzynie Podlaskiej. Wkrótce jeden z patroli zauważył, w rejonie miejscowości Jadwisin, stojącego na poboczu fiata mirafiori. Od strony maski mocował się z ciężarem auta młody człowiek. Policjanci zatrzymali wóz patrolowy i wysiedli.

— Może pomóc? — zapytał któryś.

Okazało się, że fiat „zakopał się”, jego przednie koła ugrzęzły w zdradliwym podłożu pobocza. Młody mężczyzna ponawiał bezskuteczne próby wypchnięcia samochodu z pupłapki. Policjanci poprosili go o



● PŁON MIĘDZYNARODOWEJ OBŁAWY

Francuscy, amerykańscy oraz włoscy policjanci służą do walki z narkotykami przeprowadzili w ostatnich dniach czerwca operację przeciwko kolumbijskim siatkom handlu narkotykami w tych krajach. W Paryżu i okregu paryskim, w Lille, Bordeaux, Limoges, Montpellier i Marsylii aresztowano ponad 50 osób oraz skonfiskowano 40 kg kokainy, a także zarekwirowano kilka milionów franków, pochodzących „ze sprzedaży narkotyków na kontynencie europejskim”. Podobne operacje przeprowadzono jednocześnie w kilku miastach Stanów Zjednoczonych i we Włoszech, gdzie aresztowano ponad 30 osób, a wśród nich jednego z wielkich kolumbijskich bankierów.

Źródła policyjne wstrzymują się od udzielania bliższych informacji o tej wspólnie uzgodnionej operacji, aby nie zaszkodzić dalszemu jej przebiegowi. Podano jedynie, że przeprowadzona obława to epilog ponad rocznego śledztwa, przeprowadzonego z obu stron Atlantyku, a oznaczająca początek „nowej

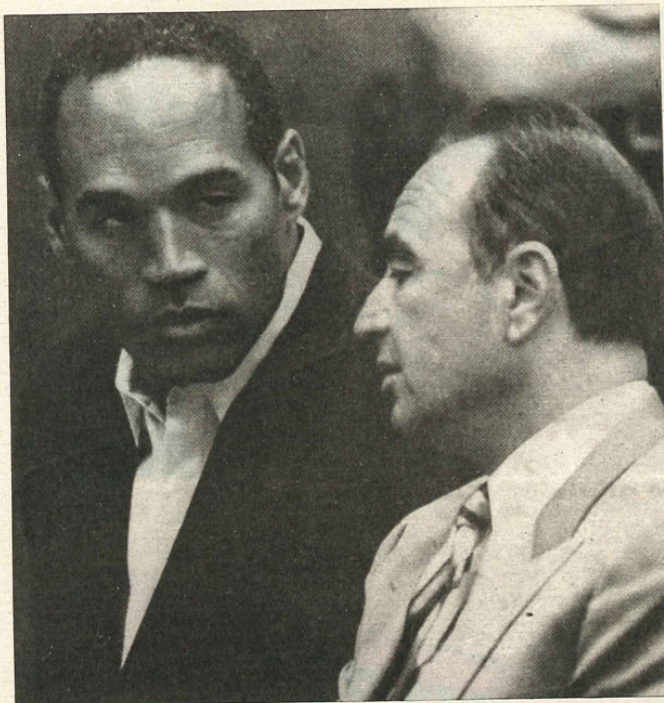
fazy walki przeciwko handlowi narkotykami na amerykańskich i europejskich rynkach oraz praniu brudnych pieniędzy” — stwierdził francuski komisarz René Wack, dyrektor centralnego biura do zwalczania wielkiej przestępczości finansowej (OCRGF).

● NIECHŁUBNE PRZODOWNICTWO USA

Międzynarodowe Obserwatorium Więzień (OIP), w swoim rocznym raporcie, opublikowało statystykę, z której wynika, że na 100 000 mieszkańców w zakładach karnych Stanów Zjednoczonych przetrzymuje się 500 więźniów, co jest jednym z najwyższych wskaźników na świecie wśród krajów, które ujawniają liczbę swoich więźniów. Francja zajmuje na tej liście dalsze miejsce z liczbą 90 więźniów na 100 000 mieszkańców, po niej znajduje się Belgia (66), Irlandia (64) oraz Holandia (49) z najniższym wskaźnikiem w Europie.

● STO EGZEKUCJI ZA HANDEL NARKOTYKAMI

Pięćdziesięciu sześciu handlarzy narkotykami rozstrzelano 26 czerwca br. w nadmorskich prowincjach Guangdong Fujian — doniósł chiński „Dziennik Prawniczy”. W ogóle w ostatnich dniach w Chinach za handel narkotykami stracono, strzałem w tył głowy, ponad sto osób. Agencja „Nowe Chiny” pisze ponadto, że 21 czerwca policja z Guangdong przechwyciła 1,4 tony marihuany, aresztując 15 marynarzy spośród załogi przemytniczego statku. Była to największa konfiskata dokonana na morzu w południowych Chinach od 1949 roku.



W Los Angeles toczy się głośny proces byłego słynnego amerykańskiego piłkarza, 47-letniego Murzyna O.J. Simpsona, oskarżonego o zamordowanie swojej byłej żony, 35-letniej Nicole Brown Simpson oraz jej przyjaciela, 25-letniego Ronalda Goldmana. Oskarżony Simpson nie przyznaje się do zabójstwa. Policja nie odnalazła noża, za pomocą którego zamordował obie ofiary. Oskarżonego broni grupa najwybitniejszych amerykańskich adwokatów.

● SAMOBÓJSTWO PISARZA- -MORDERCY

Austriak, 43-letni Jack Unterweger, ulubieniec pewnych wiedeńskich środowisk, skazany został przez sąd karny w Graz (Austria) na dożywotnie pozbawienie wolności za zamordowanie w latach 1990—1991 dziewięciu prostytutek w Austrii, w byłej Czechosłowacji oraz w Stanach Zjednoczonych. Kilka godzin po wyroku, doprowa-

dzony do więzienia, skazany Unterweger popełnił samobójstwo, wieszając się w swojej celi.

Już w 1975 roku, Jack Unterweger skazany został na dożywocie za uduszenie młodej Niemki, zbrodnię, do której się przyznał. W 1990 roku zwolniono go warunkowo z zakładu karnego. W czasie pobytu w więzieniu uzupełnił wykształcenie i stał się pisarzem, zdobywając duży rozgłos.

oprac. MARIAN OWCZAREK

okazanie dokumentów. Z prawa jazdy wynikało, że nazywa się Marek S. i jest mieszkańcem Lubartowa.

— Skąd pan jedzie? — zapytał jeden z funkcjonariuszy. Młody człowiek opisał trasę swojej podróży, z jego relacji wynikało, że nie przejeżdżał przez Domaszewice. W tym czasie drugi policjant zainteresował się samochodem, który tak niefortunnie utknął na poboczu. Zaświecił latarką do wnętrza wozu, ujrzał coś go zainteresowało. Otworzył drzwi, zażądał otwarcia bagażnika.

Sporej wielkości pakunek zawierał czarną kurtkę ortaliową i tego samego koloru spodnie od dresu, a także

czapkę z włóczki z wyciętymi otworami na oczy. W innym miejscu fiata mirafiori ukryty był pistolet Parabellum P-38 z 6 nabojami w magazynku. Siódmy pocisk tkwił w komorze naboowej, broń była więc gotowa do oddania strzału.

Zrabowaną kwotę Marek S. miał przy sobie. Odzyskano także zabrane przez niego papierosy, wszystkie sześć (tak!) paczek. Bandyta miał pecha. Jego ucieczkę wstrzymało zdradliwe pobocze. Nie zdążył nawet spokojnie zapalić papierosa.

PIOTR KITRASIEWICZ





NIEDZIELA Z DROGÓWKĄ

Pod hasłem „Bezpieczne drogi — bezpieczne wakacje” bawiły się w Jankach koło Warszawy dzieci ze szkół podstawowych. Ścisłej mówiąc — nie tylko bawiły, bowiem założenia niedzielnego festynu były znacznie poważniejsze — uczulić najmłodszych uczestników ruchu na niebezpieczeństwa czyhające na nich na drogach.

Imprezę zorganizowało Biuro Ruchu Drogowego KGP wspólnie z policjantami WRD KSP oraz Szwedzkim Stowarzyszeniem ds. Bezpieczeństwa na Drogach, wspieranym przez Ambasadę Królestwa Szwecji w Warszawie.

Udział Szwedów jako współorganizatorów przedsięwzięcia nie był przypadkowy. Skandynawowie od lat bowiem szeroko propagują wiedzę i kulturę motoryzacyjną wśród dzieci i młodzieży. „W wyniku przemyślanych i konsekwentnie realizowanych działań — powiedział mi Perry Hakansson, dyrektor Szwedzkiego Stowarzyszenia ds. Bezpieczeństwa na Drogach — mających na celu wprowadzenie bezpiecznych rozwiązań komunikacyjnych w pojazdach, na drogach oraz nieustannej edukacji społeczeństwa, Szwecja szczyci się najniższą w Europie liczbą wypadków z udziałem dzieci”.

To prawda, w ubiegłym roku w wypadkach komunikacyjnych zginęło tam 37 dzieci do lat 14, obrażeń doznało 1656. A u nas? 439 ofiar śmiertelnych i 9145 rannych. Ponura statystyka.

— Wśród wielu przyczyn takiego stanu rzeczy — mówi podinsp. Marek Papała, dyrektor Biura Ruchu Drogowego KGP — jedną z najistotniejszych jest wciąż niski poziom tzw. edukacji motoryzacyjnej dzieci i młodzieży, ich wiedzy w zakresie zasad i przepisów bezpieczeństwa w ruchu drogowym oraz umiejętności stosowania ich w praktyce. Szukamy więc różnych form prewencyjnego oddziaływania na dzieci w ruchu drogowym. Jedną z nich jest dzisiejsza impreza, w której zabawa i relaks idą w parze z edukacją.

Trzeba przyznać, że ten polsko-szwedzki pomysł był przedni. I choć pogoda nie w pełni dopisała, to jednak obszerny parking przed salonem IKEI w Jankach wypełniły tłumy ludzi. A było na co popatrzeć. Policjanci z drogówki zaprezentowali swój nowoczesny sprzęt jeżdżący. Szczególną frajdę



sprawili dzieciom potężnymi hondami. Kolejka chętnych do przejażdżki nie miała końca.

Poza funkcjonariuszami z ruchu drogowego pojawili się także policjanci „kawalerzyści” oraz przewodnicy psów służbowych ze swymi podopiecznymi owczarkami. Występy wytresowanych czworonogów wzbudzały gromkie brawa.

Szwedzi natomiast, znani ze swych technicznych upodobań, zaprezentowali symulator zderzeń, umożliwiający sprawdzenie — na własnej skórze — skuteczności pasów bezpieczeństwa.

W czasie imprezy rozegrano również zawody rowerowe, w których uczestniczyli czwartoklasisci ze szkół podstawowych w Skaryszewie (woj. radomskie), notabene zwycięzcy tegorocznego Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy o Bezpieczeństwie Ruchu Drogowego, oraz uczniowie ze szkół nr 18 przy ul. Polnej i szkoły nr 205 z ul. Spartańskiej w Warszawie.

Młodzi zawodnicy musieli zaprezentować nie tylko doskonałe opanowanie techniki jazdy na swych jednośladach, ale również odpowiedzieć na pytania z „kodeksu rowerzystów”. Największą wiedzę i umiejętnościami wykazał się 11-letni Kornel Lesiński, uczeń szkoły podstawowej nr 205. W nagrodę otrzymał pięknego BMX-a. Pozostałych finalistów uhonorowano szwedzkimi kaskami ochronnymi dla rowerzystów.

Niedzielny festyn był również świetną okazją do zdobycia karty rowerowej, czyli pierwszego dokumentu uprawniającego do poruszania się po drogach publicznych. Z tej okazji skorzystało 45 osób. Z pewnością gdyby impreza była lepiej rozpropagowana chętnych do złożenia egzaminu byłoby kilkakrotnie więcej. Ale i tak pomysłodawcom i organizatorom „niedzieli z drogówką” należy się duże brawa i słowa podziękowania. Wyraził je m.in. Ambasador Królestwa Szwecji pan Karl V. Wohler.

Czekamy więc na następny festyn z naszą drogówką.

JERZY PACIORKOWSKI
zdjęcia Marek Fidos





PROSTO Z D OGI

BILANS PÓŁROCZA

Według wstępnych danych Biura Ruchu Drogowego KGP w pierwszym półroczu br. odnotowano na polskich drogach 23 375 wypadków, w których 28 996 osób doznało obrażeń, natomiast 1868 zginęło na miejscu zdarzenia.

W porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego stan bezpieczeństwa w ruchu drogowym uległ pogorszeniu. Liczba wypadków wzrosła o 7,9 proc., osób rannych zanotowano więcej o 7,4 proc. ofiar śmiertelnych o 3,8 proc.

Największy wzrost liczby wypadków wystąpił w województwach: chełmskim, przemyskim, lubelskim i konińskim.

W ciągu 6 miesięcy br. policjanci skierowali do kolegów ds. wykroczeń 115 392 wnioski o ukaranie kierujących w stanie nietrzeźwym pojazdami, w tym 83 065 wniosków o ukaranie kierujących pojazdami silnikowymi. I w tym przypadku, w porównaniu z pierwszym półroczem 1993 r., liczba sporządzonych wniosków wzrosła o 6,8 proc.

ILE ZA KILOMETR?

Projekt ustawy o budowie płatnych autostrad, przyjęty przez Radę Ministrów, przewiduje, że rząd nie będzie ingerował w wysokość pobieranych opłat. Spowoduje to z pewnością istotne różnice cen za przejazd. Do Sejmu projekt trafi po wakacjach. Ministerstwo Transportu ma nadzieję, że już w kilka miesięcy po wejściu w życie ustawy i ogłoszeniu przetargu, rozpocznie się budowa. Program budowy autostrad wymagać będzie w ciągu 15 lat nakładów w wysokości około 7,8 mld dolarów. Powinno to pozwolić na wybudowanie 170 km autostrad rocznie.

JEDZIEMY DO W. BRYTANII (2)

Angielska Temida nie pobbła amatorom napojów wysokowych. Dopuszczalna norma alkoholu we krwi wynosi tu 0,8 prom. Jej przekroczenie grozi aresztem lub wysoką grzywną oraz zatrzymaniem prawa jazdy.

Pamiętajmy, że brytyjski kodeks drogowy nakazuje przewożenie dzieci poniżej 1 roku życia w specjalnych fotelikach. Nieco starsze mogą podróżować jedynie na tylnych siedzeniach, zabezpieczone pasami bezpieczeństwa.

Drogi w Zjednoczonym Królestwie są bezpłatne. Tylko za przejazd niektórymi mostami i tunelami trzeba uiścić opłatę. Cennik nie jest jednak wygórowany. Jednorazowy przejazd kosztuje od kilku do kilkunastu pensów.

Ceny paliw: benzyna 95 okt, bezołowiowa — 46,51 pensa za litr, benzyna 97/99 okt. — 50,86 pensa za litr, olej napędowy — 46,78 pensa za litr. Anglicy zezwalają na wwiezienie (i wywiezienie) dwóch zapasowych kanistrów z paliwem, każdy po 11 litrów.

Ważniejsze telefony: policja i pogotowie ratunkowe — 999, pomoc drogowa — 0800-887766.

NIE DAJ SIĘ OSZUKAĆ

NISSAN (modele: Bluebird i Laurel) — numer samochodu ograniczony jest z przodu i z tyłu znakiem fabrycznym. Wybity jest maszynowo w środkowej części przegrody czołowej, w połowie jej wysokości.

Numer silnika znajduje się na specjalnym nadlewie, w przedniej części korpusu silnika, na jego lewym boku. Obok umieszczony jest nadlew z wybitym oznaczeniem typu silnika.

NIE! — DLA TRUCICIELI

Za rok wszystkie samochody rejestrowane po raz pierwszy w Polsce będą musiały być wyposażone w katalizator. Zakaz rejestracji aut bez katalizatora wejdzie w życie 1 lipca 1995 r. Dotyczy on zarówno samochodów krajowych nowych, jak i używanych, a także starych sprowadzonych z zagranicy. Do końca 1996 r. zakaz ten nie obejmie samochodów o pojemności silnika do 700 cm³. Potencjalni nabywcy maluchów mogą więc na razie spać spokojnie.

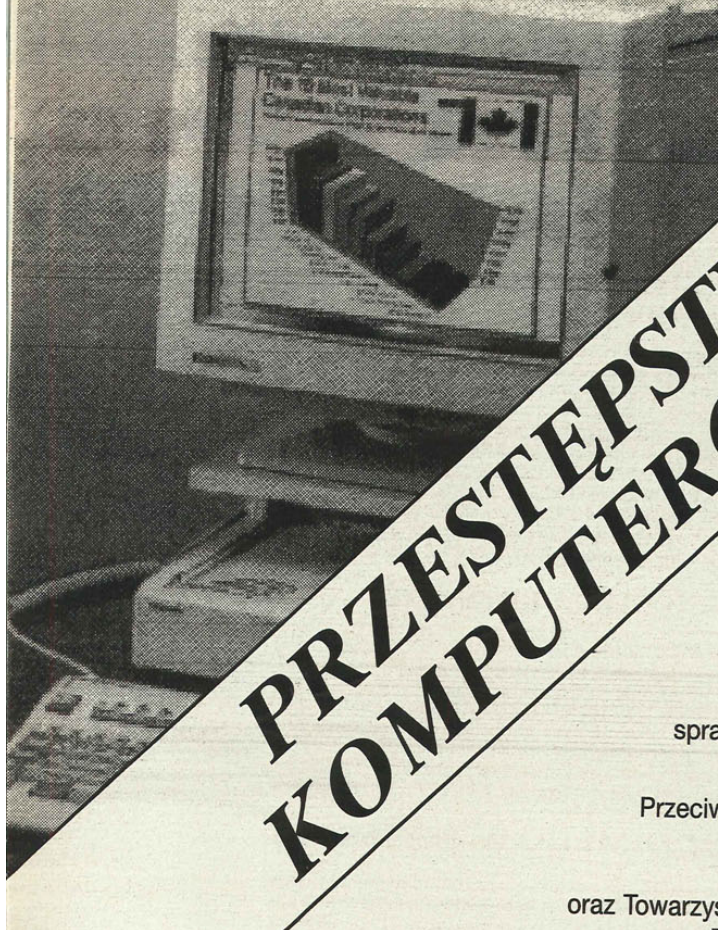
JEDNYM ZDANIEM

● Uwaga miłośnicy napojów wysokowych — we Francji obniżono dopuszczalną normę zawartości alkoholu we krwi. Wynosi ona obecnie 0,7 prom. (poprzednio wynosiła 0,8 prom.).

● Kto wie, gdzie i kiedy po raz pierwszy zainstalowano w samochodzie odbiornik radiowy? Było to w 1927 r. w USA. Niestety, źródła milczą kto był tym szczęściarzem i jakim jeździł samochodem.

● Z ciekawą inicjatywą wystąpiło niedawno kanadyjskie stowarzyszenie osób poszkodowanych przez nietrzeźwych kierowców, działające w prowincji Manitoba. Otóż każdy zatrzymany tam kierowca, u którego w organizmie stwierdzony zostanie alkohol, otrzyma od władz miejskich „w nagrodę” różowe tablice rejestracyjne. Z taką wizytówką będzie doskonale rozpoznawany na drodze. Nie tylko przez policję, ale również innych użytkowników dróg.

JERZY PACIORKOWSKI



PRZESTĘPSTWA KOMPUTEROWE (1)

Hotel
„Polonez”
w Poznaniu
w kwietniu br.
gościł uczestników
międzynarodowej konferencji
pt. „Prawne aspekty nadużyć
popełnionych z wykorzystaniem
nowoczesnych technologii
przetwarzania danych”, której patronował
wiceprezes Rady Ministrów, minister
sprawiedliwości dr Włodzimierz Cimoszewicz.

Konferencję zorganizowały Fundacja
Przeciwdziałania Przestępczości Zorganizowanej
im. Giovanniego Falcone, działająca przy
Wyższej Szkole Policji w Szczytnie,
oraz Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa
„Dom Organizatora” w Toruniu przy udziale
Biura do Walki z Przestępczością Zorganizowaną
Komendy Głównej Policji. Tematyka konferencji
była zróżnicowana, zawierała wiele walorów poznawczych.

W przemówieniu powitał
nym prof. dr hab. Emil
Pływaczewski — prezes
Fundacji Przeciwdziałania
Przestępczości Zorganizowanej
powitał wszystkich biorących udział w
konferencji, a szczególnie ekspertów
ze Szwajcarii, Niemiec, Wielkiej Brytani
i, Organizacji Narodów Zjednoczo
nych, Rady Europy Interpolu, Scotland
Yardu, Wydziału Bezpieczeństwa Sys
temów Informatycznych przy Urzędzie
Premiera Francji, a także Minister
stwa Sprawiedliwości RP, BBN przy
Kancelarii Prezydenta RP, Komendy
Główniej Policji, firm komputerowych,
towarzystw ubezpieczeniowych i ban
ków. (Łącznie w konferencji uczestni
czyło ok. 200 osób).

Rozmiary zagrożenia przestępstwami
komputerowymi oraz wybrane
problemy zapobiegania omówione
zostały w referatach dr. Sławomira Redo
„Zapobieganie i ściganie przestępstw
komputerowych z perspektywy
Organizacji Narodów Zjednoczo
nych” oraz Petera Csonki „Działania
podejmowane przez Radę Europy na
rzecz zapobiegania przestępczości
komputerowej”.

Od połowy lat 70 datuje się przełom
w erze komputerizacji. Nastąpił olbrzymi
rozwoj i fascynacja. Kolejny etap to
umiędzynarodowienie przestępczości
komputerowej. Chodzi o to, że obecnie
czyny te mogą być inicjowane lub
rozpoczynane w jednym, a zakończono
w drugim lub kolejnym kraju. W
związku z tym od 1985 roku na forum
międzynarodowym podjęto działania
zapobiegawcze zmierzające do: wymia
ny informacji i poglądów, szkole
nia, wprowadzania systemów praw
nych, które umożliwiałyby zapobiega

nie i ściganie sprawców przestępstw
komputerowych.

Lata dziewięćdziesiąte charakteryzują
się wzrostem przestępczości urzędowej,
związanej z korupcją, nazwanej
już wcześniej przestępczością białych
kołnierzyków. Do nich należą także
przestępstwa komputerowe umożliwia
jące nadużycia finansowe na wielką
skale. Szacuje się, że na świecie ujawnia
się średnio 1% przestępstw komputerowych.

Najwięcej, to jest 75% infiltracji
systemów komputerowych ma miejsce w USA i
w Europie Zachodniej. Sprawcami tych
przestępstw są najczęściej pracownicy obsługi
komputerowej, a także przedstawiciele
średniego kierownictwa.

Dużo problemów, we wszystkich
krajach, sprawia prawną ochrona danych,
a także organizacja służb zajmujących się
ujawnianiem i ściganie karnym.

Rada Europy przekazuje informacje
z wielu krajów na temat ochrony dóbr
osobistych i publicznych od początku
lat siedemdziesiątych. Z informacji
tych wynika, że największe straty w
wyniku przestępstw komputerowych
ponoszą towarzystwa ubezpieczeniowe
i banki.

Referat dr. Andrzeja Adamskiego z
Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika
w Toruniu pod tytułem „Nadużycia
komputerowe w Polsce w świetle
wstępnych wyników badań wiktymiza
cyjnych” wywołał wielkie zaintereso
wanie, gdyż była to pierwsza w Polsce
prezentacja opracowania tego typu. Z
badań przeprowadzonych w marcu
1994 roku w 115 firmach komputerowych
na terenie całego kraju wynika,

że największe zagrożenie stanowią:
kopiowanie na prywatny użytek programu
komputerowego, którego firma jest
prawym użytkownikiem — 64%;
używanie komputera będącego własnością
firmy do celów prywatnych przez
pracownika lub inną osobę bez
pozwolenia — 46%; zawirusowanie
komputera — 42%.

Mniejsze zagrożenie stanowią: usunięcie
przez osobę nieuprawnioną z pamięci
komputera danych mających dla firmy
istotne znaczenie; skopiowanie
zapisu informacji będących tajemnicą
handlową firmy przez osobę do tego
nie uprawnioną.

Natomiast najmniejsze zagrożenie,
zdaniem badanych, stanowią: ro
zmyślne uszkodzenie sprzętu lub op
rogramowania komputerowego należą
cego do firmy; manipulowanie, przez
osobę do tego nie uprawnioną, zapisem
na komputerowym nośniku informacji
w celu uzyskania korzyści majątkowych
kosztem firmy; włamanie się za pośred
nictwem sieci telekomunikacyjnej do
systemu komputerowego firmy przez
osobę nieuprawnioną.

Bisko połowa ujawnionych
przypadków nadużyć komputerowych
została wykryta przez kontrolę
wewnętrzną firmy. Wyniki badań wykazały, że tylko
około 2/3 firm deklaruje stosowanie
zabezpieczeń organizacyjnych lub
softwarowych.

Niektóre firmy stosują kilka zabez
pieczeń mając świadomość, że po
leganie wyłącznie na jednym rodzaju

zabezpieczeń (w szczególności typu
organizacyjnego — regulaminach, za
ufaniu do pracowników etc.) wydaje
się ryzykowne.

Warto podkreślić, że z największym
potępieniem spotkał się hacking (wła
manie do sieci), aż 70% badanych uwa
ża bowiem, że w tej dziedzinie konie
czne są sankcje karne. Jednakże za
grożenie hackingiem, zdaniem bada
nych, jest minimalne.

Oszustwa popełnione z wykorzystaniem
komputerów były przedmiotem
wystąpienia dr. Jana Liszewskiego z
Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. Au
tor analizował dwie sprawy karne.
Pierwsza dotyczy zastępcy dyrektora
Oddziału I ZUS w Warszawie, pow
szecznie znana jako „renta z kompu
tera”, była wielokrotnie opisywana w
prasie.

Sprawca wykorzystał znajomość ha
seł podległych pracowników, a ponad
to wprowadzał dane o rentach i eme
ryturach na martwe dusze lub nie ist
niejące osoby; przekazywał polecenia
wypłaty do PKO lub na adres osoby, z
którą działał w porozumieniu; załat
wione renty kasował pod pretekstem
zgonu klienta; przyznawał wysokie
świadczenia nawet w granicach 20—30
mln zł; przyznał renty przynajmniej
dla 11 martwych dusz, a współdziałał z
co najmniej 14 osobami; kupował do
wody osobiste, wklejał zdjęcia i wypis
ywał fikcyjne nazwiska.

Ujawnienie przestępstwa nastąpiło
przypadkowo przez pracownicę PKO
S.A., która stwierdziła, że dowód oso
bisty klienta, rzekomego rencisty, jest
fałszywy.

Sprawca został ukarany za to, że w
okresie od października 1990 roku do
lipca 1991 roku zagarnął mienie spo
łeczne w kwocie powyżej 1 miliarda zł,
tj. z art. 200 § 1 i art. 201 § 1 k.k. Za czyn
ten został skazany na karę 7 lat pozbawie
nia wolności, 50 mln zł grzywny i 10
lat zakazu wykonywania podobnego
zawodu.

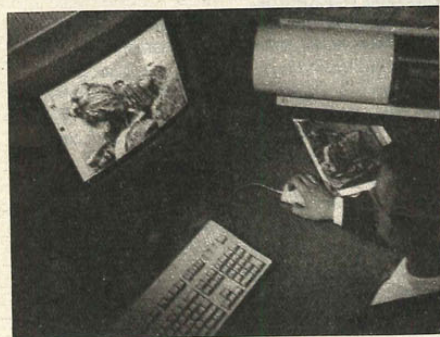
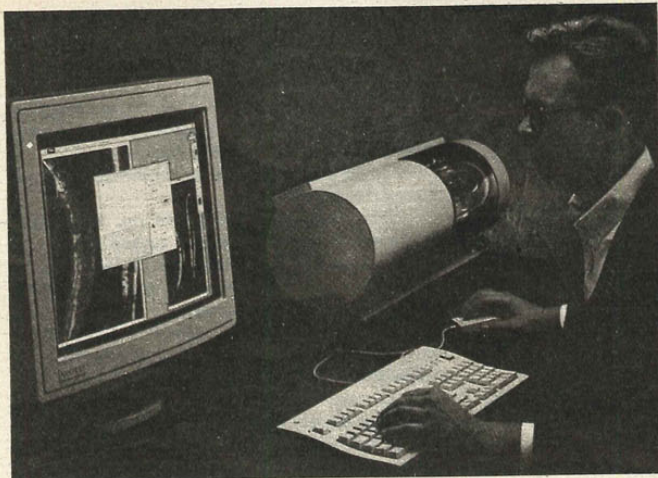
Sprawa druga jest prowadzona przez
Prokuraturę Wojewódzką w Gdańsku
przeciwko czterem pracownikom Wy
działu Rent i Emerytur ZUS w Gdań
sku. Wykorzystali one liberalizm zwią
zany z wypłacaniem zasiłku pogrze
bowego i zagarnęli 1,5 miliarda zł.

Forma działania była prosta. Jedną z
pracownic pisała wnioski o zasiłek
pogrzebowy na ustalone i figurujące w
tym ZUS-ie nazwisko emeryta lub ren
cisty. Druga aprobowała wniosek i de
cyzję przekazywała do wypłaty. Pien
iądze z kasy pobierały dla nich przy
padkowe osoby wynagradzane drob
nymi kwotami. Przestępstwo ujawnio
no przypadkowo, gdyż zapomnieli
„przywrócić do życia w komputerze”
jednego z emerytów, który przestał
pobierać emeryturę. Kiedy emeryt
przyszło wyjaśnić w ZUS-ie dlaczego
nie otrzymuje należności, dowiedział
się że — nie żyje.

Obie sprawy, oprócz wielu podob
nych cech charakterystycznych wy
różniają się tym, że sprawcy przestęp
stwa działali w stosunkowo długim
czasie oraz że zostali ujawnieni przy
padkowo.

Niezwykle interesujące było
wystąpienie Noela Bończoska z Departamentu
Przestępczości Komputerowej (Computer Crimes Unit), New
Scotland Yard, pt. „Wykrywanie przestęp
stw komputerowych: hacking,
oszustwo, sabotaż”.

Pan Bończoszek od 1986 roku zajmu
je się wykrywaniem przestępstw kom
puterowych. Obecnie kieruje 5-osob
owym zespołem specjalistów, który
koordynuje pracę policji w tym zakre
sie. Wśród jego podwładnych znajdują
się nie tylko profesjonalści-policjanci,
ale także informatycy z tytułami dok
torskimi.



W pracy zespołu dużą wagę przykłada się do szkolenia policjantów w zakresie ujawniania i ścigania przestępstw komputerowych. Ponadto, prowadzą oni szereg innych działań np. bank danych o wirusach, a także uzyskane wirusy (kopie) ujawnione w różnych firmach.

Bardzo dużo problemów stwarza wykrywanie hackerów. Hacker uważany jest za wyjątkowo niebezpiecznego osobnika (w sensie intelektualnym), gdyż uzyskuje dostęp do systemów informatycznych, penetruje je, zastawia pułapki i wykorzystuje zawarte tam informacje. Swoim działaniem powoduje niejednokrotnie to, że system staje się bezwartościowy. Skutki działalności hackerów są trudne do określenia. Hackerzy działają niejednokrotnie bez korzyści materialnej. Przykładowo, umieszczają i uruchamiają system, który ujawnia poufne informacje, np. telefonuje co chwilę do nieznanego abonenta i przekazuje informacje bez wiedzy właściciela bazy danych. W ten sposób ujawniane są np. drogie i pracochłonne wyniki badań naukowych. W takich przypadkach zarówno wyniki badań, jak i system ochrony — stają się bezużyteczne.

Hackerzy w Wielkiej Brytanii to przeważnie młodzi informatycy, w wieku od 17 do 23 lat. Ostatnio w Manchesterze aresztowano 3 hackerów stosujących boxing.

Boxing polega na wykorzystaniu komputera (nawet дешевого typu Commodore) podłączonego do sieci telekomunikacyjnej za pomocą modemu i odpowiedniego oprogramowania. Przykładowo, hacker „wchodzi” do uniwersyteckiej poczty elektronicznej za pomocą sieci telefonicznej, a następnie do sieci miejskiej, z której łatwo wejść do sieci międzynarodowej. Korzystając z tej ostatniej sieci może porozumiewać się z każdym numerem telefonicznym w Wielkiej Brytanii.

Niektórzy hackerzy, wykorzystując sieć międzynarodową (łącza satelitarne) robią to samo łącząc się np. przez Nowy Jork. Metoda ta polega na bezpłatnym porozumiewaniu się z całym światem przy wykorzystaniu komputera i sieci telekomunikacyjnej. Warto podkreślić, że prowadzenie „rozmów” za pomocą sieci międzynarodowej, za pośrednictwem innego kraju, to dodatkowa trudność w monitorowaniu rozmów hackerów i ich ujawnianiu. Natomiast hackerzy czując się bezpiecznie penetrują cenne systemy komputerowe. Po spenetrowaniu systemu, zwyczajem hackerów jest poinformowanie swoich kolegów — innych hackerów w odpowiednim biuletynie o zastosowanej metodzie, by także umożliwić im wejście do systemu z pominięciem zastosowanych zabezpieczeń. Oczywiście jest, że od tej chwili wspomniany system staje się bezwartościowy.

Hacker wykonuje, za pomocą komputera, setki lub tysiące połączeń telefonicznych (np. nocą, gdy opłaty są najniższe), albo stosując boxing, tj. bezpłatnie, przy wykorzystaniu telekomunikacyjnej sieci międzynarodowej.

Koszty ustalenia i aresztowania hackerów są bardzo wysokie. Przede wszystkim należy zatrudnić wielu specjalistów z różnych dziedzin techniki. Jedną z metod jest monitorowanie biuletynów wydawanych przez hackerów oraz ustalanie innych sposobów porozumiewania się.

Prawne aspekty hackingu poruszone zostały także, w referacie dr. Manfreda Mahrenschlagersa z Ministerstwa Sprawiedliwości Republiki Federalnej Niemiec.

W Niemczech Bundestag odmówił kryminalizacji samego wejścia do systemu. Natomiast karalne jest wejście do poufnych systemów, a także wtedy, gdy występuje zagrożenie lub szkoda mająca związek ze zniszczeniem czy dysponowaniem informacjami zdobytymi nielegalnie.

Warto przy tym podkreślić, że hackerzy mogą dążyć nie tylko do spenetrowania systemu komputerowego, lecz także do spenetrowania innych zagrożeń związanych z blokadą czy przypadkowym zniszczeniem informacji.

cdn.
JERZY WÓJCIK

SAMO ŻYCIE

SFINGOWANY NAPAD

Dość nieoczekiwany, jakby żywcem wzięty z kryminalnej komedii finał znalazła historia napadu na hurtownię broni znanej firmy „Cenzim Daszkiewicz” w miejscowości Krajów pod Wrocławiem.

Tego dnia o godz. 15.15 trzech nie zidentyfikowanych osobników w kominarkach wtargnęło do portierni hurtowni. Posługując się 2 pistoletami mężczyźni sterroryzowali, związali i zakneblowali portiera, po czym bez przeszkód przedostali się do magazynu broni. Oficjalna, pierwsza podana policji wersja głosiła, że na terenie hurtowni zostali napadnięci także magazynier Mariusz A. i pracownik obsługujący komputer — Robert C., których również związano i zakneblowano, jednak już po wstępnym przesłuchaniu okazało się, że ich zeznania nie są spójne i poszkodowani „kręcą”.

Po 12 godzinach rozmowy z dochodzeniowcem 21-letni Mariusz A. „pękl” i przyznał się, że cały „napad” został dokładnie zaplanowany i „nadany”, motywem działania zaś była chęć wyrównania powstałych strat i wzbogacenia się. W tym celu Mariusz A., jako magazynier, korzystając z pomocy 55-letniego Bogdana K., właściciela sklepu z bronią myśliwską, wynajął dwóch obeznaných z fachem wroc-

ławian, wypożyczając im do „napadu” 2 pistolety. Wykonawcy „zlecenia” — 32-letni Antoni K., właściciel warsztatu samochodowego, karany w przeszłości za paserstwo samochodów oraz 31-letni Jarosław B. mający na koncie wykroczenia drogowe, wywiązali się z zadania bezbłędnie: odczekali w przedsiönku hurtowni aż wyjdą wszyscy klienci, po czym obezwładnili portiera i przez specjalnie dla nich otwarte drzwi (w celach bezpieczeństwa po każdorazowym przyjsciu pracownika zamykane od środka) weszli do wewnątrz, spokojnie zabierając przygotowaną broń i 600 sztuk amunicji. „Skok” trwał zaledwie 5 minut, wydawał się udany, ale ostatecznie spalił na panewce, gdyż jego twórcy, okazali się kiepskimi aktorami. W mieszkaniu Antoniego K., już w dwa dni po napadzie policja ujawniła cenny łup — odzyskała wszystkie 38 jednostek broni i amunicję.

Za współudział w przestępstwie odpowiedzialność nie tylko nieuczciwi pracownicy hurtowni i ich dwóch pomocników, lecz także właściciel sklepu myśliwskiego Bogdan K., który „nadał robotę”.

W.G.



SALONY MEBLI IMPORTOWANYCH I KRAJOWYCH

WALTNER

OFERUJĄ

MEBLE DO WSZYSTKICH WNĘTRZ

NAJWYŻSZA, ŚWIATOWA JAKOŚĆ

CENY PROMOCYJNE

DLA OSÓB Z KUPONEM
„MAGAZYNU KRYMINALNEGO 997”

7% TANIEJ



SALONY WALTNERA

Warszawa, ul. Domaniewska 41,

tel. 43-20-01

ul. Wysockiego 6

tel. 11-04-53

ul. Waszyngtona 45/51

SALONY CZYNNE
PRZEZ 7 DNI
W TYGODNIU



W roku 1982 po wprowadzeniu stanu wojennego — mówi Jan O. pseudonim operacyjny „Romeo” — Polska została politycznie izolowana na zachodniej arenie międzynarodowej. Najgroźniejsze było jednak to, że Zachód zerwał wszystkie kontakty, które dotąd służyły przepływowi myśli naukowo-technicznej. Fakt ten dla gospodarki krajowej mógł mieć fatalne następstwa.

Dostrzegając zagrożenie w połowie 1982 roku kierownictwo MSW zleciło dyrektorowi Departamentu I, by wszelkie wysiłki polskiego wywiadu technologicznego zostały skupione na jak największym osłabieniu restrykcji zmierzających do odcięcia Polski od zachodniej myśli technicznej.

Pod koniec 1982 roku postanowiono skorzystać z pomocy „Pierwszej Sekcji Infiltracji”. Kilka pań pracujących dotąd dla nas w hotelach warszawskich trzeba było przerzucić na Zachód, by kontynuowały „pożyteczną działalność dla dobra socjalistycznej ojczyzny”.

Jako oficer operacyjny utrzymywałem kontakty z Julią. Zwykle odbywały się w bezpiecznych miejscach, a każde spotkanie miało wcześniej ustaloną legendę. W jej otoczeniu uchodziłem za narzeczonego. A trzeba wiedzieć, że wraz z dziewczyną wyjeżdżał jej opiekun operacyjny. Ten, w przeciwieństwie do dziewczyny, posiadając paszport dyplomatyczny mógł w ambasadzie uwić sobie ciepłe i wygodne gniazdko. Tak więc walka o paszporty była ostra, gdyż większość zdawała sobie sprawę, że to już ostatni dzwonek dorobienia się czegoś na socjalistycznym biznesie.

Skoro powiedziało się „A”, trzeba powiedzieć „B”, zwłaszcza że krajowy przemysł w szybkim tempie zaczął staczać się po równi pochyłej. Góra zatem coraz mocniej naciskała, by upadek przemysłu, jeśli nie można go było zatrzymać, przynajmniej został ograniczony do minimum. Stąd wywiad wojskowy jak i cywilny zostały pobudzone silną ostrożą nakazu zaktywizowania dotychczasowej działalności.

O tym wszystkim powiedziałam Julii. Ostrzegłem ją przy tym, że Zachód nie zamierza tolerować w tym względzie aktywności agenturalnej. Czas stał się niepewny, a przyszłość ludzi pracujących na Zachodzie bez paszportów dyplomatycznych była o wiele bardziej ryzykowna niż poprzednio.

Wraz z Julią ja również rozpocząłem przygotowania do wyjazdu. W momencie przejścia do „Pierwszej Sekcji Infiltracji” oficjalnie uzyskałem kwalifikacje młodszego radcy handlowego. Stąd nie było problemu z delegowaniem mnie jako pracownika dyplomatycznego do polskiej ambasady w Paryżu.

— Nim wyjechałaś do Francji, przebyłaś podstawowe przeszkolenie wywiadowcze.

— Pierwszą zasadą, którą mi wpojono było przekonanie, które swego czasu wyraził Warren Harding, jeden z prezydentów Stanów Zjednoczonych: „Trzeba działać niemoralnie dla osiągnięcia niemoralnych celów”.

— A szpiegostwo, co rozumie się samo przez się, nie ma nic wspólnego z dziesięciorgiem przykazań....

— Kolejną rzeczą, z którą się zetknęłam, były treningi psychoterapeutyczne. Miały służyć wyrobieniu wewnętrznego przekonania, że choć znajduję się na obcym klasowo (kapitalistycznym) terenie, to w każdej osobie, pytającej o godzinę, nie powinienam widzieć prowokatora lub oficera kontrwywiadu.

— Język francuski miałaś w „małym palcu”? Ale to jeszcze nie wszystko.

— W Paryżu byłam czterokrotnie i sądziłam, że znam to miasto w stopniu wystarczającym, by nie utrudniło mi to pracy. Myliłam się.

— Zaczęłaś uczyć się planu miasta na pamięć?

— Między innymi.

— ...?

— Wiele wieczorów spędziłam na oglądaniu filmów, nakręconych wideokamerą. Uczyłam się mówić o niektórych ulicach w taki sposób, jakbym mieszkała na nich co najmniej przez kilka miesięcy.

— Po co to wszystko?

— „Romeo zadał” mi test do rozwiązania.

„W miejscu zamieszkania zostajesz zdekonspirowana. Musisz zniknąć w innej dzielnicy Paryża i przeczekać do momentu, aż wyścigniemy cię z kłopotów. Co wtedy zrobisz?” Znaczyło to, że, choć nie musi, jednak może przyjść taki moment, w którym szybko powinienam zmienić się z osoby „A” w osobę „B”, z turystki przedzierzgnąć się w rodowitą Paryżankę, która wie, że za rogiem madame Jourdain wypieka wspaniałe bagietki.

CZAS AGENTÓW

— Czy w trakcie owego szkolenia nie przyszła ci ochota rzucić to wszystko w diabły?

— Jasne, zrobiłam to. Wówczas dano mi do zrozumienia, że zabrnęłam zbyt daleko.

— Co jeszcze zawierał twój elementarz?

— „Romeo” pokazał sposoby sporządzania różnego rodzaju skrytek, aby ukryć przed niepożądanymi oczyma różne dokumenty, które mogłam mieć.

— Jak taka skrytka wyglądała?

— Najprostszą kryjówką może być odpowiednio gruba okładka książki. Dobra do tego celu jest również rurka w szafie, na której zawieszamy wieszaki z sukienkami. Takich miejsc w domu są dziesiątki.

— Tylko, że trzeba wpaść na pomysł ich znalezienia.

— Pewnego dnia dostałam od Romea prezent. Był to maszynopis książki, która nigdy nie ukazała się na polskim rynku wydawniczym. Jej autorami było kilku najlepszych w kraju iluzjonistów.

— Co wspólnego ma magia z wywiadem?

Julia podchodzi do futra i z kieszeni wyjmuję mój portfel. Potem wsuwa go do bocznej kieszeni płaszcza, który założyłam wychodząc do ogrodu.

— Okazuje się, że więcej niż byśmy przypuszczali. Ze stron książki mogłam poznać kulisy technik stosowanych przez magików.

— Zaczęłaś bawić się w kolekcjonowanie cudzych portfeli?

— Nie, natomiast poznałam np. wiele doskonałych metod odwracania czyjejs uwagi.

— Z pewnością podczas owych lekcji poinformowano cię o sposobach, którymi będzie nawiązywany z tobą kontakt.

— Jednym z nich była „żabka”. Powiedziano mi, że co jakiś czas na poste restante zostaną nadesłane listy na moje nazwisko. W każdym z nich, w miejscu sklejenia koperty, będzie znajdował się niewielki mikrofilm. Ten po wrzuceniu do szklanki z wodą należało przykleić do ścianki i przez szkło powiększające odczytać zapisaną wiadomość.

— Co jeszcze zawierało twoje „a, b, c”?

— Musiałam nauczyć się zasady organizowania przyszłych spotkań z „narzeczoną”. Chodziło o odpowiednie wybranie właściwej do tego celu restauracji, kawiarni czy bistra. Przed takim spotkaniem musiałam być pewna, że nie jestem śledzona.

Kobiety rzekomo zawsze spóźniają się na umówione spotkania. Korzystając z tego mogłam obserwować wejście osoby do lokalu, a następnie skupić uwagę na tym, czy za delikwentem nie ciągnie się ogon.

Paszporty, w które w tamtym (obecnym?) czasie nasz departament wyposażał osoby przerzucane za granicę, można było podzielić na trzy rodzaje. Używano je w zależności od sytuacji lub konieczności uwiarygodnienia osoby.

— Pierwszą grupę stanowiły paszporty tzw. okazjonalne — kontynuuję „Romeo”. — Przeważnie pochodziły z kradzieży lub zostały przyniesione do komisariatu milicji przez osobę, która ów paszport znalazła. Agentowi wolno było używać takiego dokumentu tylko w sporadycznych przypadkach, dla „pochwalenia” się nim z daleka. W paszportach tych, prócz koniecznych korekt (np. zdjęcie) starano się jak najmniej zmieniać. Z tego też powodu nigdy nie wolno było się nim posłużyć w momencie, gdy dochodziło do sprawdzania tożsamości, dajmy na to, przez służby graniczne.

Druga grupa to paszporty „operacyjne”. Były to, jakby powiedzieć, paszporty również „okazjonalne”, tyle że odpowiednio podrasowane. Służyły agentom w terenie, podczas nawiązywania kontaktów, meldowania się w hotelach itp. W takich sytuacjach osoba patrząca na dokument nie była, jak np. w przypadku celników, świadoma określonych cech charakterystycznych dokumentów.

Trzecia i ostatnia grupa to „setki”, autentyczne dokumenty paszportowe danego państwa, oficjalnie przez nie wyprodukowane. Na czystych stronach wpisywało się określone dane pożądane dla danego agenta. Taki dokument był nie do namierzenia. Można z nim było, na pewniaka, przekroczyć każdą granicę.

— Dostałaś „setkę”, lecz nie był to dokument dyplomatyczny. Nie bałaś się, że w momencie ujawnienia działalności przez francuskie służby kontrwywiadowcze byłabyś zdana tylko na samą siebie? Z tego co jest mi wiadome Francuzi nigdy nie żartowali. Agentów, którzy nie posiadali immunitetu dyplomatycznego, niekiedy przejeżdżały samochody, lub znajdowano ich z poderżniętymi, przez nie zidentyfikowanych narkomanów, gardłami.

— Wówczas byłam przekonana, że nic mi nie grozi.

— Twój wyjazd, jak się domyślam, utrzymywany był w tajemnicy. Nie da się jednak z dnia na dzień zniknąć z horyzontu, na którym zawsze było się widocznym.

— W momencie, kiedy zaczynałam przygotowywać się do opuszczenia kraju coraz rzadziej pojawiałam się w „Grandzie”. Kilku dziewczynom zaczęłam opowiadać, że wypadam z obiegu, bo mam już tego dosyć, chcę się ustakować, wyjść za mąż i tym podobne bzdury.

— Uwierzyły?
— W tym zawodzie każdy zajmuje się tylko sobą.

— W jaki sposób wyjechałaś do Francji? Chyba nie w bagażniku samochodu dyplomatycznego?

Julia sięgnęła pod stolik i rozłożyła na nim atlas świata.

— Zostałam przerucona przez Związek Radziecki do Australii — puknęła końcem karmelowego paznokcia w Melbourne. — Tam otrzymałam bilet linii Air France do Paryża.

— Mogłabyś zwolnić tempo opowieści? Połeciałam, dostałam, zmieniłam nazwisko...

— Z Warszawy do Moskwy poleciałam samolotem LOT jako obywatelka PRL. Byłam również Polką w momencie, gdy startowałam z lotniska Wnukowo.

Wraz ze mną do samolotu wszedł nieznany mi wcześniej oficer Jedyńki. Podczas lotu otrzymałam neseser, z którego wyjęłam nowe dokumenty. Stary paszport oddałam towarzyszowi podróży.

— Jak rozumiem, wcześniej pozbyłaś się wszelkich dokumentów (papierów?) itp., które mogłyby zaprzeczyć twojej nowej tożsamości.

— To zrozumiałe.
— Przybierając nową postać wkułaś również na pamięć jej życiorys?

— Można to tak ogólnie nazwać.
— Jak należało się wówczas do siebie zwracać?

— Miss Ann Surrey. Dokumenty stwierdzały, że urodziłam się w Walii i jestem nauczycielką języka francuskiego pracującą w St. John's Wood.

— ...?
— To jedna z dzielnic Londynu.
— Powód przyjazdu do Paryża?
— Konwersacja w pięknym języku Voltaire'a i Stendhala.

— Prócz dokumentów, które otrzymałaś od oficera wywiadu wręczono ci jeszcze...?

— Cztery tysiące franków oraz książeczkę czekową.

— Jak rozumiem na twoje konto w paryskim banku wpłacono odpowiednią sumę?

— Niewielką, ale dałoby się za nią skromnie przeżyć kilka tygodni.

— Co robiłaś podczas pierwszych dni po przyjeździe do Paryża?

— Do moich pierwszych zadań należało w miarę dokładne poznanie ulic dzielnicy, w której zamieszkałam, oraz przypomnienie sobie „rozkładu” ulic i budynków śródmieścia. Byłam podekscytowana tym, co mnie otacza, ale pamiętałam o celu przyjazdu.

— Jakże we Francji postawiono przed tobą zadania?

— W Warszawie pokazano mi fotografie pewnego mężczyzny. Nazywał się Paul Arno. W chwili przyjazdu do Paryża skończył 36 lat. Był rozwodnikiem, samotnie mieszkającym na Bulwarze Maurice'a Barres'a pod numerem 12. Jego pasją były owady, których pokazną kolekcję miał w domu (obrzydlivość). Facet pracował na Rue la Boetie 58 bis. Mieściła się tam siedziba COCOM. Skrót ten oznaczał: Coordinating Committee for East-West Trade Policy — Komitet Koordynacyjny ds. Polityki Handlowej między Wschodem a Zachodem...

PAWEŁ SZLACHETKO

SAMO ŻYCIE

PAN PREZES Z PISTOLETEM

Prezes aeroklubu w Rybniku 65-letni Aleksander S. jako były oficer jednej z polskich formacji wojskowych z okresu II wojny światowej żywił sentyment do broni palnej, zwłaszcza krótkiej. Od lat był posiadaczem starego pistoletu typu Sauer, na który miał pozwolenie. Po wzroście przestępczości w naszym kraju starszy pan obawiając się napadu nosił broń przy sobie. Nie musiał jej jednak używać, gdyż nie przytrafiła mu się żadna niebezpieczna niespodzianka, aż pewnego razu...

Lipcowego wieczora pan prezes, nieco podchmielony, wracał do domu. Idąc pustą o tej porze ulicą Kotuczka, dostrzegł nadchodzących z naprzeciwka dwóch młodych mężczyzn. Ich niezbyt prosty, choć zdecydowany chód wskazywał, że również są po kilku kieliszkach. Kiedy starszy pan miał obu młodzieńców, otrzymał nieoczekiwanie silny cios w twarz. Upadł na plecy. Pomimo zaskoczenia i wywołanego uderzeniem wstrząsu nie stracił przytomności umysłu. Błyskawicznie wydobyl pistolet i nacisnął spust. Rozległy się trzy strzały. Jeden z napastników wydał przeraźliwy okrzyk i oburącz chwycił się za kolano. Następnie podskakując na jednej nodze i kuśtykając na drugiej zaczął oddalać się szybko. Drugi młody człowiek odskoczył gwałtownie i dał nura w krzaki.

— Stój, bo strzelam! — ryknął pan S. podnosząc się. Napastnik zatrzymał się i z przerażeniem patrzył na zbliżającego się go z groźnie wycelowaną bronią prezesa.

— Panie, niech pan nie strzela, niech pan nie strzela... — krzyczał rozpaczliwie padając na kolana i zakrywając rękoma głowę, którą przycisnął do ziemi.

Przy krawężniku z piskiem opon zatrzymał się samochód. Wysiedli z niego funkcjonariusze straży miejskiej. Patrolowali pobliski teren, gdy usłyszeli nie występujący w Rybniku na porządku dziennym huk strzałów. Zajęli się błagającym o darowanie życia młodym człowiekiem. Po chwili zjawił się wezwany radiowóz policyjny.

Zraniony w kolano napastnik zniknął w tzw. międzyczasie z pola widzenia, jednak odnalazł się szybko. Dwie ulice dalej zemdlał z bólu i szoku. Idąc po śladach krwi policjanci natrafili na niego, jak leżał bez przytomności na trawniku. Natychmiast zabrano go do szpitala. Miał przestrelone kolano.

Napastnikami okazali się mieszkańcy Rybnika, 20-letni Grzegorz K. i o rok młodszy Mirosław O. Obaj byli już notowani za kradzieże i rozboje. Grzegorzowi K. grozi kalectwo. Pan prezes miał we krwi 1,6 promila alkoholu. Tłumać się, że strzelał na postrach i nie chciał nikogo zranić.

— Strzelałem w ziemię — zeznał. — Widocznie dostał w kolano rykoszetem.

Aleksander S. musiał rozstać się ze swoim pistoletem. Przynajmniej na razie. Może mieć kłopoty z prokuratorem, który akceptując fakt, iż starszy pan został napadnięty i działał w obronie własnej, zarzucił mu, iż strzelał... ze zbyt małej odległości.

PIOTR KITRASIEWICZ

magazyn
997
kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI
ZESPÓŁ REDAKCYJNY: ELŻBIETA
CIERLICA (redaktor naczelny
601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70),
Waldemar Gajewski, RYSZARD HRY-
CYK (red. graficzny), Przemysław Ka-
cak, Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz No-
szczyński, Edward Nowak, MARIA
PAWLAK (sekretarz redakcji, 601-61-32,
48-14-30), Adam K. Podgórski (od-
dział red. w Katowicach, 510-221 w.
1965), Zygmunt Podhorodecki, Elżbie-
ta Sitek, Paweł Szlachetko, Hanna
Świeszczakowska, MARCEL TABOR
(zastępca red. naczelnego, 601-61-72,
48-14-30), Krzysztof Zaczekiewicz (red.
techniczny).

FOTOREPORTERZY: Krzysztof Mo-
krzyszewski, Krzysztof Potocki

ADIUSTACJA I ŁĄCZNOŚĆ Z CZY-
TELNIKAMI: Agata Guzek-Wrotna
(601-61-15)

KOREKTA: Małgorzata Boruta, Elżbie-
ta Mirowska

KOLPORTAŻ I MARKETING: Teresa
Tomaszewska (601-68-66)

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: K. Górniak, S.
Jung, J. Kirzyński, Z. Matwiej, M. Owczar-
ek, J. Paciorkowski, Z. Razmuk, M. So-
kalska, L. Terpiłowski.

ADRES REDAKCJI: 02-672 Warszawa,
ul. Domaniewska 36/38, skr. poczt. 12.
Telefon sekretariatu 601-61-26, kasa
601-60-86, tel./fax 601-68-67 lub MSW
168-67. Redakcja nie zwraca materia-
łów nie zamówionych oraz zastrzega
sobie prawo skrótów i zmiany tytułów
nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA
I. Zamówienia na prenumeratę od
osób cywilnych i instytucji przyjmują
terenowe oddziały Zakładu Kolporta-
żu Prasy i Wydawnictw „Ruch”.
II. Funkcjonariusze, pracownicy cy-
wilni Policji oraz emeryci i renciści re-
sortowi zamawiają prenumeratę u na-
szego kolportera w najbliższej jed-
nostce Policji.
Reklamacje w sprawie kolporta-
żu kierować pod adresem redakcji: ul.
Domaniewska 36/38 02-672 Warszawa
tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867.
Konto bankowe: BPH O/III Warszawa
nr 320049-433-130-1 ZAG KGP (pre-
numerata).

Wyłączny dystrybutor na Kanadę

VARTEX DISTRIBUTING Inc.
75 Lemonwood Dr Unit 301
Islington, Ontario M9A 4L3
tel. (416) 240-8792
fax (416) 241-3570

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod ad-
resem redakcji „MK 997”. Cena: słowo
— 7000 zł, cm² — 15 000 zł. Kolorowe
dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń
redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne,
00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77.

numer zamknięto 9 VIII 1994 r.
Zam. 40923
REDAKTOR DYŻURNY
ELŻBIETA SITEK

MYŚLI

Państwo trwa dłużej niż jego obywatele, ale żywotność tego państwa zależy od tego, jacy są ci obywatele.

Wiesław Górnicki

Trudno jest kochać tych, których nie cenimy, ale nie mniej trudno kochać tych, których cenimy o wiele więcej od siebie.

La Rochefoucauld

Cała odmienność mojego myślenia polega na tym, że staram się nadać naszym sprawom obiektywne proporcje.

Stanisław Lem

W jakimś sensie siła literatury tkwi w niedoświadczeniu.

Jerzy Kosiński

Zapamiętaj

Nas w Polsce zawsze stać było na luksus nieuctwa.

Paweł Jasienica

KOGUT PRZECIWKO GWAŁCICIELOM

Największym problemem policjantów w jednej z dzielnic Hongkongu o nazwie Tuen Mun jest rosnąca liczba gwałtów. W 1993 roku w tej spokojnej dotychczas dzielnicy zanotowano 9 wypadków gwałtów i 60 wypadków napastowania kobiet. Ujęto też dwóch notorycznych gwałcicieli.

W tej sytuacji władze postanowiły zasięgnąć rady geomanty, czyli specjalisty zajmującego się ustalaniem sposobów poruszania się dobrych i złych mocy. Geomancja, która ma w Chinach kilka tysięcy lat tradycji, zna rozmaite metody utrudniania życia złym mocom, polegające m.in. na nadawaniu budowlom odpowiednich kształtów, stosownej lokalizacji drzwi i okien bądź sprzętów w pomieszczeniach. Hongkong jest wprawdzie miastem bardzo nowoczesnym, ale geomancja nadal cieszy się tam ogromną popularnością i porady geomantów są nieustannie wykorzystywane przy sporządzaniu projektów architektonicznych, planowaniu wnętrz lub organizacji rodzinnych uroczystości.

Na prośbę komendanta komisariatu policji w Tuen Mun geomanta przeprowadził niezbędne pomiary dzielnicy i orzekł, że najlepszym sposobem zapobieżenia z niej złych seksualnych skłonności będzie wybudowanie pagody lub umieszczenie na centralnie położonym budynku komisariatu Tik Kung Kaj, czyli metalowego koguta. Budowa pagody odpadła ze względu na zbyt pokaźne koszty, jednak pomysł z kurem wszystkim przypadł do gustu. Obecnie na dachu komisariatu widnieje pomalowany na czarno, metrowej wysokości kur, który zapobiegać ma przestępstwom na tle seksualnym.

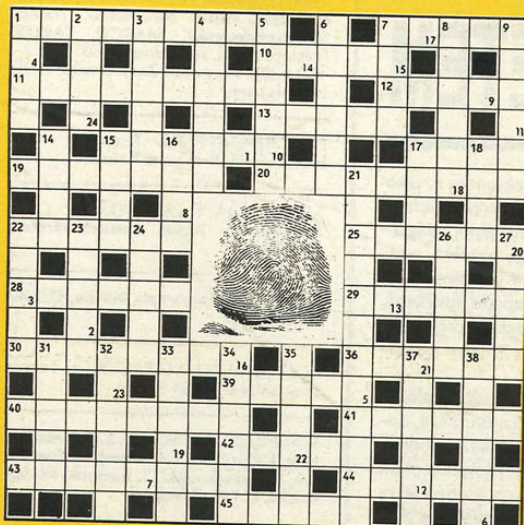
(gi)



Koncesjonowana
Agencja Ochrony
Mienia i Osób
05-220 Zielonka
ul. Przemysłowa 2
tel. 781-04-82
781-04-83



KRZYŻÓWKA NR 16



Poziomo: 1 — pod jego szkiełka trafiają mikroślady, 7 — kontrolowany kontrowersyjny, 10 — moralne łamane, bywa „kopertówka”, 11 — największy smyczkowy, 12 — mąwa, 13 — mieszka nad Bosforem, 15 — ktoś z bajki, 17 — w nich przetwory, 19 — światło odbite, 20 — tyłka dla fasoli, 22 — skrzydło szyku wojskowego, 25 — stoją, chodzą, biją, 28 — niewielki gryzoń drapieżny, 29 — składnik zaprawy murarskiej, 30 — podkomisarz przed awansem, 37 — droga boczna, 39 — z grządkami, 40 — jednogarbn wielbłąd, 41 — projekt, plan, 42 — żywica z kanarecznika, 43 — składnik cementu portlandzkiego, 44 — panna Plater, 45 — dzieci plus zapalki.

Pionowo: 1 — z młyna, 2 — oszustwo, 3 — dodatek urozmaicający jedzenie, 4 — osłona w ręcznej broni palnej, 5 — krok do przodu, 6 — dopływ Dunajca, płynie przez Muszynę, 7 — dochód, zarobek, 8 — Kościuszki w Krakowie, 9 — niegdyś we „Frani”, teraz w automacie, 14 — bożyszcze tłumów, 15 — wbijany między, 16 — rzeka z Miłosza, 17 — nieprzyjaciół, 18 — najstarszy kolor w kartach, 21 — idący ulicą, 22 — zakładka w tkaninie, 23 — amerykański dziennikarz i publicysta, współpracownik „Life’u”, 24 — dorosły mruczek, 26 — scena dla tresera, 27 — szwedzki port nad Bałtykiem, 31 — Edward, lekkoatleta-kulomiot, mistrz świata z 1983, 32 — siostra Antygony, 33 — jednak kwiatek ruszyła, 34 — matador, 35 — rzeki — most łączy, 37 — „nisko zawieszony” pies myśliwski, 38 — myśl wyrażona słowami.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać hasło, powiedzenie, które tworzą litery w kratkach oznaczonych w prawym dolnym rogu cyframi od 1 do 24:

(.....) (.....) (.....) (.....) (.....) (.....)
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24

Rozwiązania (samo hasło) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji na kartach pocztowych z naklejonym kuponem.

BOŻENA CHMIELEWSKA

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosujemy nagrodę — 500 000 złotych.

Rozwiązanie krzyżówki nr 12:

„Jeden szyje, drugi pruje”

Nagrodę wylosowała Irena Szymula ze Ślemienia (woj. Bielsko-Biała)



TELEFONY NA PODSŁUCHU

Nie mówcie zbędnych rzeczy, jesteście podsłuchiwani — w takie tabliczki będą zapewne w niedalekiej przyszłości wyposażane aparaty telefoniczne, instalowane w mieszkaniach Niemców. W ostatnim czasie poważnie wzrosła liczba podsłuchiwanym abonentów telefonicznych, na co wcześniej musza wyrazić zgodę władze sądowe. W Bundestagu podano, że w 1993 roku policja prawie 4 tys. razy naruszała tajemnicę rozmów telefonicznych. W 1990 roku wskaźnik ten wynosił 2,5 tys.

Największe miasto Niemiec — Berlin znajduje się w statystyce kontroli rozmów telefonicznych na jednym z ostatnich miejsc wśród dużych ośrodków miejskich. W 1993 r. sędziowie wydali 82 zezwolenia na podsłuchiwanie. Natomiast w Bremie było ich 221 a w Dortmundzie 118. W b. NRD liczby te są znacznie niższe. Np. w Rostoku zanotowano tylko 17 wypadków usankcjonowania podsłuchiwania rozmów, Poczdamie — 41 i Lipsku — 46.

Przedstawiciele rządu Niemiec zapewnili parlamentarzystów, że wszystkie sprawy, związane z kontrolą rozmów telefonicznych obywateli, znajdują się pod stałym nadzorem odpowiednich instancji. W Federalnym Urzędzie Policji Kryminalnej utworzone zostanie specjalne archiwum, w którym gromadzone będą wszystkie dane na ten temat ze wszystkich landów.

(gi)